Nr. 29 (1125). Warszawa, dnia 6 (19) Lipca 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 11.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

GRUNWALD.

Wielką jest pamiątka, bo i wielką też była rzeczywistość. Tryumf grunwaldzki jaśnieje dziś jako jeden z największych czynów nietylko bojowych, ale i politycznych XV w. Przez Grunwald Polska stanęła przed Europą jako mocarstwo; przez Grunwald weszła w jej polityczny systemat; on dał jej ten urok potęgi, który i w stosunkach życia i w widzeniach historyi głębiej umysły wzrusza i hołduje — niż sama, choćby największa, materyalna siła państwowa. Wrażenie odniesione przez Europę po d. 15 lipca 1410 r. skrystalizowało się już i utrwaliło w poczucie tego majestatu dziejowego, który nakazuje patrzeć na zespólnie narodowo-społeczne jak na potężne indywidualności w życiu międzynarodowem czynne i samem tem życiem klątwę straszliwą ustawicznej walki o byt na siebie wyzywające. Poczucie owo w Europie trwać miało aż do jednej z największych burz i największych też niebezpieczeństw, jakie zapisała historya, do owych przełomowych lat najazdu przez sześciu naraz wrogów, które słusznie nazwą potopu objęto. Na chwilę już tylko potem trzywiekowy prawie urok wybłyśnie w bohaterskiej a niepolitycznej improwizacyi r. 1683, aby zapaść ostatecznie w mrok, znikczemnienie, niemoc i niedolę epoki saskiej.

Sam w sobie jako wypadek wojenny, jako bitwa, Grunwald jest wspaniałym. Wytrzymanie nawały krzyżackiej przez chorągwie polskie i nieliczne czeskie po pierzchnięciu zaciągów litewskich i rozpaczliwem bohaterstwie Smoleńszczan — wzbudza cześć. Silne musiały być te ciała, silniejszemi jeszcze dusze, aby takiego czynu męztwa dokonać, taki rozpęd szalony, z taką niewzruszoną stałością połączyć. W tych dwu może godzinach, dopóki krzyżactwo, upędzające się za Litwinami i Tatarami, nie powróciło na plac boju, rozstrzygnął się los, nie jednego tylko dnia, ale długich wieków, całej przyszłości. Złamanie przez Krzyżaków tych dwudziestu może chorągwi, które bój podtrzymywały, aby ostatecznie dla wdzierającego się krzyżactwa stać się niezdobytym wałem — byłoby klęską żadnemi usty niewysłowioną. Wytrwanie na stanowisku, opędzenie się, odparcie, natarcie ze swej strony, rozbicie — cały ten pogrom, który po Europie tajemniczo rozbrzmiał, ukazując jej na północy wielką rodzącą się potęgę, uratował przyszłość. Nie wiedzieli Krzyżacy, że wiozą łańcuchy na siebie samych. Miecz wszakże ubiegł pęta, kilkanaście tysięcy legło, garstka ich tylko ocalała. Gdyby nie Plauen i zamknięcie się w Malborgu, pokój toruński 1466 r. mógł być już w sierpniu 1410 r. podpisanym.

Grunwald nietylko stanowisko międzynarodowe wzmocnił i zapewnił: wpływem swym sięgnął też i w wewnętrzny, ledwie poczynający się ustrój państwa, które od d. 14 sierpnia 1385 r. zjednoczonem, jednem nazewnątrz być miało. Bitwa pod Grunwaldem, a właściwie pod dzisiejszym niemieckim Tannenbergiem stoczona, była pierwszym poważnym już czynem współdziałania, narzucanego przez zadokumentowaną wolę obustronną, ale nie urzeczywistnianego jeszcze w dostatecznem natężeniu przez życie. Niewątpliwie psychologiczna doniosłość wielkiego zwycięztwa, po wielkiem przebytem wspólnie niebezpieczeństwie objawiła się w pamiętnym akcie z 2 października 1413 r. Grunwald stał się okolicznością sprzyjającą temu aktowi, dał do niego zachętę, wywarł przy spisywaniu go jakby nacisk konieczności. Drugim dodatnim skutkiem dnia grunwaldzkiego jest wyzwolenie pogańskiej Żmudzi z pod chrześciańskich Krzyżaków. Koniec XIV i początek XV w. pokazał, jakim rozbójnikiem stać się może rycerz niemiecki, z symbolem męki, ale zarazem i miłości Chrystusowej, z krzyżem na płaszczu, mieczem w dłoni, a chytrością w sercu. Rozbójnictwu temu Grunwald kres położył.

Bezwstyd krzyżacki długie lata jeszcze przedstawiał przed Europą sprawę swoją, przegraną pod Grunwaldem, jako sprawę kultury chrześciańskiej w zapasach z pogaństwem i barbarzyństwem. Intrygami, szyldem świętości, wywieszonym nad wrotami zamku malborskiego, datkami wreszcie — zjednywał sobie papieży przeciwko Polsce. Nic ohydniejszego pomyśleć niepodobna nad fałsz takiego Fürstenberga w Kostnicy lub paskudztwa wyrzucane na papier podczas układów o trwały pokój przez całe prawie panowanie Jagiełły prowadzonych. Nikt w XV w. nie umiał tak, jak Krzyżacy, łączyć fałszu z uciskiem i gwałtem i tymi wszystkimi środkami dorabiać się wielkości politycznej, albo też tylko trzymać się na politycznem stanowisku. Ta właśnie ich kultura, którą się dziś jeszcze przechwalają, wyciska na nich piętno hańby. Okrucieństwa i bezprawia, których się dopuszczali na ludności swych krajów, wyzwały Polskę do nowego czynu. Uciemiężona ludność garnęła się, przytulała do niej, pod moc jej się oddawała, aż wreszcie w r. 1454 wybuchła nowa wojna, po której już Prusy Zachodnie od rozbójniczego zakonu odpadły. Gdyby nie fami-

lijna, mała a krótkowidząca polityka Zygmunta I, zamiast rozejmu z r. 1521 miałaby Polska od strony Krzyżaków pokój — przez zupełne unicestwienie zakonu. Akt szczodrobliwości wujowskiej z d. 8 kwietnia 1525 r. stał się podwaliną przyszłych nieszczęść. Cały znój krwawy i cała wielkość Grunwaldu poszły tego dnia na marne. Chwile stanowią o wiekach.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król włoski przybył do Peterhofu d. 13 b. m. po południu. D. 14 był w Petersburgu. D. 16 udał się w podróż powrotną.

Waldeck-Rousseau na wodach norwezkich spotkał się przypadkiem z Cesarzem Wilhelmem II i miał z nim trzykrotną rozmowę, po której wysłał sprawozdanie do Loubeta.

Prawo o służbie wojskowej z senatu przeszło do Izby. Artykuł główny, skracający czas do lat dwóch, uchwaliła większość senatorów 175 głosami przeciw 113; w Izbie znajdzie on silniejsze jeszcze poparcie.

Po wielkiej mowie Combes'a d. 4 b. m. w Izbie o szkołach utrzymywanych przez duchowieństwo ogromna liczba tych zakładów, przeważnie ludowych, podobno 1,900—2,200, skazaną jest na zamknięcie. Wielką stanowczością tchną słowa Combes'a, że gabinet postanowił złamać opór i zapewnić zwycięztwo społeczności cywilnej. Mowę prezesa gabinetu Izba 309 głosami przeciw 218 nakazała rozlepić po wszystkich gminach Francyi. D. 11 b. m. interpelacya Aynarda, za szkołami księżemi, wywołała scenę prawie wiedeńską — oczywiście, dzięki nacyonalistom. Izba 328 gł. przec. 218 odroczyła rozprawy.

Od d. 12 b. m. Anglia ma nowego prezesa gabinetu — jeszcze bez własnych ministrów, ale już premiera. Salisbury poprosił króla o dymisyę, król chciał mu ją dać wraz z tytułem książęcym. Margrabia wolał pozostać na dalsze wieki margrabią. Zalecił królowi zaraz swego siostrzeńca, Balfoura; król się zgodził i Balfour przewodniczy już gabinetowi. Chamberlain poczekać jeszcze musi. Niepotrzebnie zupełnie rozczulają się dziennikarze kontynentalni nad jego sprawiedliwością z powodu odrzucenia żądania wyszłego z łona najzapalczywszych wrogów Boerów - Afrykanderów, aby znieść na Przylądku konstytucyę: Anglik bez parlamentu żyć nie może; parlament jest dla niego sprawą, nie wolności, ale kultury.

D. 12 b. m. naród londyński witał swego bohatera Kitchenera, ale bez wielkiego zapału. Bohater jedzie do Indyj — na posadę.

Król angielski niby wraca do zdrowia. Przewieziono go na wyspę Wight. Koronacya wbrew wszystkiemu odbyć się ma między 9 a 15 sierpnia, ale już bez uroczystego pochodu; będzie sam tylko obrzęd kościelno-pałacowy.

Sejm galicyjski, po niezwykle usilnej pracy, wśród odbywanych dziennie dwu posiedzeń, d. 11 b m. w nocy został odroczony. Kiedy się też doczeka nowych roków? Podwyższenie pensyi nauczycielom ludowym, stawienie silnego oporu panującym prądom sobkostwa klasowego i stańczykostwa, napiętnowanie niegodziwości malborskiej, uchwalenie przez komisyę szkolną obowiązkowej nauki obu języków krajowych we wszystkich szkołach Galicyi, spora pomoc dla szkoły w Białej (16,000 koron) — są pożywnymi owocami tej krótkiej sesyi letniej. Na uwagę zasługuje wystąpienie prof. Milewskiego, surowe, a bardzo ostre — przeciw rządowi przedlitawskiemu i rządowi lwowskiemu. Szczególniej ważne jest to, co prof. mówił o przemyśle. W kole sejmowem na posiedzeniu tajnem jakby kamorry jakiejś, p. Bobrzyński uwieńczył swój zawód historyka i ochmistrza narodów obroną stańczykostwa, w której dał ujście swej płytkości w zdaniu: „Dla mnie narodem są tylko te warstwy, które tworzą literaturę i sztukę.“ A więc przedewszystkiem on sam, p. Bobrzyński, w historyi sztukmistrz nad sztukmistrzami.

W Bawaryi profesorowie liberalni trzech uniwersytetów wzburzyli się przeciw rządowi za naganę daną w sejmie przez ministra Landmanna profesorom w Wurzburgu z powodu ich liberalizmu.

W sejmie czeskim nastała cisza, pozwalająca na układy o urządzenie stosunku między obu narodowościami w sposób zapewniający wspólne pożycie bez ciągłego darcia się za łby. Czy z układów wyjdzie rzeczywiste uporządkowanie namiętności, poruszających oba obozy? Czy wszechniemcy pozwolą na zgodę?

Pomiędzy gwałtownymi, pruskimi, a umiarkowanymi, austryackimi, Niemcami d. 13 b. m. w Chebie (Eger) przyszło do bójki nocnej, niesłychanie gwałtownej.

Szwecya ma odnowiony gabinet: Boström— prezes, Berger — sprawiedliwość, Westring — sprawy wewnętrzne, Meyer— skarb, Friesen— wyznania religijne, Ramstedt—bez teki, weszli na nowo.

W Hiszpanii spory i utarczki, z których ma wyjść nowe stronnictwo demokratyczno-postępowo-generalskie, zdolne do rządu. Ks. Tettuan, Dominguez i Romero-Robledo mają je zorganizować.

W Serresie w Macedonii znieważono i zdarto herb agencyi handlowej bulgarskiej Gieszow, wysłannik w Stambule wymódz usiłuje zadośćuczynienie.

Roosevelt przygotowuje dla kongresu grudniowego bill przeciw trustom, tj. zmowom wielkich lewiatanów kapitalizmu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Głosowanie członków Koła polskiego w sprawie ceł zbożowych, konferencyi cukrowej, a wreszcie ustawy okowicianej tak, jak tego wymaga interes junkrów pruskich — i to w chwili, kiedy ci junkrowie uchwalają nowe prawa antypolskie, wywołuje zdumienie nawet u Niemców. Wolnomyślny poseł Richter z piekącą ironią zwrócił uwagę członka Koła polskiego, Dziembowskiego, na to, że ten, głosując w imieniu swego klubu za ustawą okowicianą, popiera prześladujących polskość konserwatystów pruskich. Odpowiedź posła Dziembowskiego była jednym z najcharakterystyczniejszych okazów ukrywania egoistycznych interesów kasty pod płaszczykiem interesów narodowych. Mianowicie głosowanie swe uzasadnił tem, że obecnie, kiedy

Z pamiętników Gorona.

Śluby więzienne.

Prawo o deportacyi miało na celu uwolnienie metropolii od olbrzymiej liczby sutenerów i prostytutek, grabieżców, zbójów i kurtyzanek. Najniebezpieczniejszych recydywistów i przestępców, którzy zbyt często stawali przed sądem policyi poprawczej, wysyłano dożywotnio do Nowej Kaledonii lub Kajenny.

Nieszczęśliwi zesłańcy wiedzą doskonale, że już nie zobaczą ojczyzny; ci z nich, którzy nie próbują uciekać i godzą się ze swym losem, starają się przykładnem sprawowaniem zasłużyć na prawo zawierania małżeństwa.

Nie czuję się dostatecznie kompetentnym do osądzenia strony moralnej podobnych związków, dzięki którym głowami rodzin stają się wyrzutki ludzkości i zezwierzęceni bandyci, utrzymywani w karbach jedynie straszną dyscypliną katorgi, a przytem ludzie, których potomstwo na pewno będzie napiętnowane hańbą. Synowie lub córki przestępców już od urodzenia są paryami ludzkości i przychodzą na świat, skazani na wieczne wygnanie.

A tymczasem tak dziwaczny z pozoru wypadek, jakim wydać się może małżeństwo w więzieniu, spotyka się częściej, niż można przypuszczać. Mówiłem już o tej dzikiej namiętności, o tem szczególnem przywiązaniu, którem wyróżniają się złoczyńcy, gdy sprawa dotyczy ich ukochanych. Wspominałem w swych pamiętnikach o herszcie szajki, Fumigocie, który przez wdzięczność za uwolnienie jego kochanki wyznał natychmiast wszystkie swe zbrodnie i namówił również do przyznania się swoich towarzyszów.

Skazany na wygnanie, nazajutrz po wyroku żyje już tylko jedyną myślą, jedyną nadzieją ujrzenia znów swej kochanki i otrzymania pozwolenia na jej poślubienie. Wie doskonale, że zobaczy swą najdroższą raz tylko, w dzień ślubu, i że upłyną potem długie miesiące, zanim nowozaślubionej wolno będzie pojechać za mężem. Wszystko to każdy z nich wie, lecz zdaje mu się, że katorga będzie o wiele znośniejszą, gdy jego towarzyszka znów się z nim połączy w odległej Kajennie lub Nowej Kaledonii. Oprócz tego uczucia przywiązania i miłości, przestępcy pragną małżeństwa i dla innych przyczyn: zdaje im się, że po kilku latach pracy i niedostatku pozostaną wolnymi osiedleńcami i żyć będą z rodziną we własnym domku i we własnym ogrodzie. Lecz wszystkie te sercowe porywy, wszystkie te nadzieje i marzenia o szczęściu smutnie się kończą zazwyczaj. Kobiety, w większości wypadków, zgadzają się chętnie wyjść za zbrodniarza, lecz z biegiem czasu, gdy po ukochanym pozostają tylko smutne wspomnienia, pod postacią listów, przysyłanych coraz rzadziej, żona skazańca żałuje danego przyrzeczenia i zapomina w końcu o swym małżonku. A tymczasem mąż jej stęskniony na dalekiem wygnaniu wyczekuje napróżno lubej, i ostatecznie pozostaje mu jedyny środek — podać się do rozwodu. Dla niektórych rozczarowanie przychodzi bardzo szybko.

Pewnego razu policya zaaresztowała herszta szajki rozbójników, której czyny wsławiły ich wodza w całym okręgu; protokół kryminalny przepełniony był szczegółami o zrabowanych willach, zabitych stróżach, ograbionych podróżnych, których niekiedy wódz kazał wrzucać do wody, jeśli niedość szybko oddawali pieniądze.

Naczelnikiem tej szajki był młody człowiek, liczący około 25 lat. Dobrze zbudowany, wysokiego wzrostu, postawny, był on ulubieńcem prostytutek wenseńskich. W Menile - Montagne i miejscowościach okolicznych znany był pod nazwą „pięknego Eugeniusza,“ któremu wierne odaliski całego okręgu znosiły swój codzienny zarobek. Te hołdy miłosne znudziły się w końcu naszemu Don-Juanowi. Pewnego pięknego dnia zakochał on się w dziewczynie, która chodziła po placu Narodowym i miała wielkie powodzenie wśród przedstawicieli załogi wenseńskiej; ta jednak odrzuciła z lekceważenie zabiegi pięknego Eugeniusza, który zapalił się tem więcej i postanowił posiąść ją.

Była to wysoka, smukła brunetka, z czarnemi, błyszczącemi oczyma i ślicznym, ciemnym, wijącym się włosem; ogólna budowa jej ciała, zdradzająca typ południowy, sprawiła, że nazywano ją Carmen.

uchwalono ćwierć miliona marek na wykupywanie wielkiej posiadłości ziemskiej z rąk Polaków, obowiązkiem tych ostatnich jest utrwalanie tej posiadłości. Że takie „utrwalanie“ odbędzie się kosztem setek tysięcy ludności polskiej, która swymi pieniędzmi podatkowymi musi przyczyniać się do rozwoju junkierstwa, to p. Dziembowskiego nic nie obchodzi.

Obchodzi to jednak te tysiące ludności polskiej, która, zdaje się, rychło zrozumie, że wybieranie do sejmu i do parlamentu takich panów Komierowskich lub Dziembowskich nic Polakom nie przyniesie, oprócz nowych ciężarów podatkowych pod względem ekonomicznym i szeregu haniebnych kompromitacyj w dziedzinie polityki. Że zrozumienie tego faktu zaczyna kiełkować wśród ludu polskiego, świadczą mnożące się objawy niezadowolenia z polityki Koła polskiego w tych sferach, które dotychczas były zupełnie powolne komendzie „urodzonych“ przywódców narodu. Na Kaszubach, gdzie uświadomione włościaństwo obchodzi się zupełnie bez pomocy obywateli ziemskich i księży, rej wodzących w „kółkach rolniczych“ Poznańskiego, głosowanie przedstawiciela Koła polskiego, posła Komierowskiego, za cłami zbożowemi spotkało się z powszechnem oburzeniem. Umiarkowany *Orędownik*, krytykuje bardzo surowo całą politykę ekonomiczną Koła polskiego.

Gdyby w Poznańskiem i w Prusach zachodnich istniała jakaś partya mieszczańska lub chłopska, w rodzaju galicyjskiego stronnictwa ludowego, wówczas rozgoryczenie, wywoływane przez szkodliwą dla interesów ludu politykę Koła polskiego mogłoby być wyzyskane na korzyść organizacyi demokratycznej. Niestety, ani w Poznańskiem, ani w Prusach zachodnich takiej organizacyi niema, i oburzenie mas ludowych może przybrać inne formy. Chłopi, rzemieślnicy i robotnicy polscy, zrażeni do polityki przedstawicieli polskich w Berlinie, mogą pójść za głosem postępowych Niemców, w rodzaju zwolenników Richtera lub ich sąsiadów z lewicy. Ci ostatni nie zasypiają sprawy i w Poznaniu np. gotują się energicznie do wyborów, upatrzywszy już dawno kandydata na posła w osobie przewodniczącego poznańskiego sekretaryatu robotniczego, p. Gogowsky'ego — Niemca, nieumiejącego nawet po polsku, zawziętego socyal-hakatystę. Niema naturalnie o tem mowy, żeby p. Gogowsky został wybrany ze stołecznego miasta prowincyi, w każdym razie jednak może on odebrać znaczną liczbę głosów kandydatowi Koła polskiego i w ten sposób przyczynić się do osłabienia tej placówki, która dotychczas była w rękach polskich. Tam, gdzie postępowym kandydatom niemieckim nie uda się odciągnąć znacznej ilości głosów, można przewidzieć jednakże zmniejszenie ich liczby, wskutek zniechęcenia ludności polskiej. Obawiać się należy ponownego zmniejszenia się ogólnej liczby posłów polskich, co *faktycznie* — wobec teraźniejszego stanowiska Koła polskiego — żadną by klęską nie było, ale świadczyłoby niekorzystnie o sile politycznej żywiołu polskiego. Czują to dobrze posłowie polscy w Berlinie, lecz nawet otwarty bunt wyborców nie nakłoni ich do poświęcenia bodaj najdrobniejszego interesu ekonomicznego wielkiej posiadłości ziemskiej.

I „wierni sojusznicy“ reprezentacyi polskiej — centrowcy górnośląscy czują, że z ich mandatami może być krucho. Zwłaszcza hr. Bellestrem, poseł lubliniecko-gliwicki, najbardziej znienawidzony przez ludność polską, ma powody do obaw o swój wybór. Nawet potulni „katolikowcy“ uważają jego kandydaturę za niemożliwą. Wobec czego hr. Ballestrem, który kazał Polaków „bić po pysku“ i jest obecnie patronem teatru germanizatorskiego na Górnym Śląsku, przypomniał sobie nagle, że przed kilkudziesięciu laty mówił wcale poprawnie po polsku, że kiedyś przemawiał za nauką języka polskiego itd. Co to mogą wybory! Cóż zresztą mówić o hr. Ballestremie, kiedy nawet sam kardynał wrocławski Kopp, począł się w ostatnich czasach umizgać do Polaków — ten sam Kopp, który uprawia germanizacyę nietylko na pruskim Śląsku, ale nawet i na austryackim, należącym — wbrew wszelkiej logice — do dyecezyi wrocławskiej. Rzecz jednak wątpliwa, czy wszystkie te umizgi centrowców, jak również i ich groźby, że „Polacy gotowi stracić ostatnich swych przyjaciół,“ dopomagą coś takim Ballestremom. Nie wiadomo tylko, kto obejmie dziedzictwo po centrowcach w tych okręgach, gdzie cierpliwość ludu polskiego już się wyczerpała. Katolikowcy gotowi są w dalszym ciągu bronić jedności centrum. Demokraci, skupiający się dokoła *Górnoślązaka*, będą, jak się zdaje, stawiali swoich kandydatów. Z własnymi kandydatami występują polscy socyaliści, jak również i socyaliści niemieccy pod wodzą dr. Wintera. Jednem słowem na brak kandydatów ludność górnośląska nie będzie mogła narzekać.

Władze pruskie rozumieją to dobrze, że najbliższe wybory mogą się stać przełomowymi dla Górnego Śląska i starają się jak najusilniej o usunięcie tych żywiołów, które mogą być niebezpieczne dla stronnictwa rządowego, jakiem jest obecnie centrum. Tem się chyba tłomaczy ta niesłychana surowość, z jaką sądy górnośląskie występują przeciw opozycyjnym redaktorom polskim. Świeżo np. p. Morawski, odpowiedzialny redaktor katowickiej *Gazety*, został skazany na dwa lata, a kierowniczka jej, dr. Estera Golde, na rok więzienia. Jest to najwyższy wymiar kary w danym wypadku.

Przed izbą karną w Gnieznie rozegrał się ostatni akt tregedyi wrzesińskiej. Jak wiadomo, sprawę przeciwko jednej z oskarżonych, szewcowej Elżbiecie Kantorczykowej, wyłączono z postępowania głównego, ponieważ w trakcie rozprawy sądowej zasłabła i została matką. Oprócz tego dla braku dostatecznych dowodów odroczono sprawę przeciwko czeladnikowi stolarskiemu, Kaliszewskiemu. Wreszcie sąd Rzeszy w Lipsku zniósł wyrok, wydany na ucznia szewckiego Wiśniewskiego, gdyż skazano go na karę o tydzień dłuższą nad przepisaną dla przestępców w jego wieku.

Obecnie w Gnieznie sądzono tę trójcę. Kantorczykowej zarzucono, że gdy policyant rozpędzał tłum na żądanie nauczyciela, miała zawołać: „ukropem głowę mu zleję!“ Po za tem nie popełniła nic, coby mogło zagrażać porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu państwa pruskiego. Kaliszewski, ujrzawszy wracającego do domu pod strażą żandarmów nauczyciela Koralewskiego, miał zawołać: „bijcie tego złodzieja!“, Wiśniewski zaś krzyczał podobno:

U góry i na dole drabiny społecznej uczucia i namiętności są jednakowe: miłość własna mężczyzny jest wszędzie ta sama, a opór kobiety rozpala nieodzownie jeszcze większe pragnienie w odtrąconym kochanku.

Naturalnie wenseńska Carmen wiedziała o tem doskonale i swem obejściem okazywała zalotnikowi coraz większe lekceważenie.

Ponieważ jednak Eugeniusz był najładniejszy z sutenerów, ponieważ miłosny związek z nim mógł pochlebiać każdej podobnej kobiecie, Carmen z gniewnej stała się powoli łaskawą i, pomęczywszy go jeszcze parę tygodni, rzuciła się w jego objęcia.

I oto zaczęło się dosyć dziwne, niewidziane prawie między sutenerami pożycie, w którem najoryginalniejszem było to, że zakochany Eugeniusz ani razu palcem nawet nie tknął kochanki i przebaczał jej wszelkie wybryki. A jednocześnie miłość była najwidoczniej powodem coraz bardziej bohaterskich czynów. Z niepojętą odwagą wymyślał on najrozmaitsze plany i wykonywał je tak szczęśliwie, że w końcu towarzysze okrzyknęli go wodzem bandy, która przez ciąg długich miesięcy nie została ujęta i wodziła za nos policyę. Przytem charakterystyczne jest i to, że Carmen nie brała udziału w żadnej z wypraw, które urządzał jej kochanek i nie przyjęła od niego ani jednej ukradzionej rzeczy. Zapewniano jednak, że wszystko to było robione tylko dla ostrożności, a rzeczywiście to ona była duszą całej szajki, której wódz zawsze się jej radził. Pogląd ten szerzył się po okolicy, i powstały całe legendy, w których „Carmen“ występowała jako zakulisowa sprężyna tej występnej paczki.

Oto dlaczego, gdy całe to szanowne towarzystwo wpadło w ręce policyi, ta ostatnia przedewszystkiem odnalazła i zaaresztowała Carmen, która podczas badania u sędziego śledczego powiedziała:

— Tak jest, byłam kochanką Eugeniusza, lecz nigdy nie wiedziałam i nie próbowałam dowiadywać się, co on robi. Jestem prostytutką, prawda, lecz nie złodziejką. I to jest taką prawda, że kiedy raz przyniósł mi złoty zegarek i nie chciał powiedzieć, skąd go dostał, ja nie przyjęłam podarunku.

Piękny Eugeniusz, który nie miał tak silnego charakteru, jak jego kochanka, zaczął zeznawać, że przynosił jej kradzione pieniądze; lecz gdy postawiono ich razem, wtedy, pod wpływem jej rozkazującego wzroku, zaczął mówić zupełnie co innego i przyznał, że Carmen nie była wcale zamieszana w ich złodziejską działalność. Ale jednocześnie bez ceremonii wydał wszystkich swoich wspólników, a w ich liczbie wysokiego, ryżego draba, przezwanego „Guwernerem,“ który wziął na siebie całą odpowiedzialność, a zobaczywszy Carmen, powiedział:

— Eugeniusz ma zupełną słuszność, ja jestem najwinniejszy ze wszystkich, bo wyprawy sam jeden obmyślałem, a Eugeniusz działał już tylko według mojego planu. Co się tyczy tej biednej dziewczyny, to powinno się ją sprawiedliwie wypuścić, gdyż była daleka od wszystkiego.

Carmen z widoczną przyjemnością słuchała zeznań odważnego chłopca, który potrafił tak dzielnie podtrzymywać „kolegów,“ i zaraz po śledztwie dziękowała mu ze łzami w oczach.

Całą szajkę sądzili przysięgli i skazali Eugeniusza, „Guwernera“ i paru innych do ciężkich robót; co zaś do Carmen, to tej udało się stosunkowe dobrze: skazano ją tylko na rok więzienia.

Po pewnym czasie, wyszedłszy z więzienia, otrzymała list od Eugeniusza, który w najbardziej wzruszających słowach błagał, by wyszła za niego, obiecując niezmącone szczęście w Nowej Kaledonii. Odpowiedź Carmen była prosta ale energiczna:

— Rumienię się na myśl, że byłam kochanką takiego łotra, jak ty i naturalnie, nigdy nie zostanę twą żoną; ale, żebyś nie myślał, że jestem również łotrzycą i że obawiam się zesłania, wiedz, że jednocześnie piszę list do „Guwernera“ z prośbą, by został moim mężem; jest on brzydki, ale dzielny i odważny, więc pokochałam go za to. On jest w każdym wypadku mężczyzną, ty zaś stałeś się w moich oczach bezużytecznem śmieciem.

W taki sposób podługowaty, rudy „Guwerner“ znalazł żonę tam, gdzie ją stracił piękny Eugeniusz.

(D. n.).

„hu! ha! dalej na nich!“ — czy coś w tym rodzaju.

Podczas rozprawy udowodniono przy pomocy świadków, że Kantorczykowa i Wiśniewski istotnie popełnili te „zbrodnie,“ o które ich oskarżono. Co do winy Kalinowskiego, to pięciu świadków zeznało pod przysięgą, że nie on wołał „bijcie tego złodzieja,“ lecz niejaki Walter Koenig. Ponieważ jednak nauczyciel Koralewski twierdził, że to wezwanie padło z ust Kalinowskiego, więc tamtym pięciu świadkom nie dano wiary.

Prokurator uznał wszystkich oskarżonych za winnych i zażądał wysokich kar— np. dla Kantorczykowej roku i 3 miesięcy więzienia.

Sąd udał się na długo trwającą naradę i ogłosił wyrok, przewyższający niemal poprzednie wyroki. Kantorczykową skazano na 10 miesięcy, Kalinowskiego na rok i 2 miesiące więzienia. Wiśniewski otrzymał trzy tygodnie więzienia.

Pośrednik

Listy Petersburskie.

Statystyka oświaty i sprawy szkolne. — Drobny kredyt włościański. — Wywóz mięsa. — Polityka ekonomiczna. — Szpitalnictwo.

Ogłoszony niedawno czwarty tom pracy pp. Falborga i Czarnołuskiego p. t. „Początkowa oświata ludowa w Rosyi,“ zawierająca ogólne wnioski z danych statystycznych szkolnictwa ludowego, wzbudza powszechne i łatwo zrozumiałe zaciekawienie. Już pierwsze dwa tomy wydawnictwa, z których zebrano cyfry, dotyczące szkół ludowych, nauczycieli, uczniów, abituryentów itd., zawierały wiele rzeczy nader pouczających i wymownych. Wydany obecnie tom czwarty (trzeci ukaże się później) uzupełnia ten niewesoły obraz. Względnie do wzrostu naturalnego ludności — tak rozumują autorowie — należało w ciągu ostatniego ośmiolecia otworzyć jeszcze 40,000 nowych szkół, aby dać wykształcenie powszechne takiej stosunkowo ilości dzieci, jaka uczyła się w dniu 1 stycznia 1894 r., czyli że ogółem powinno być 84,896 szkół. W przeciwnym bowiem razie sprawa szkolnictwa ludowego nie będzie posuwała się naprzód.

Według obliczeń pp. Falborga i Czarnołuskiego, nigdy dotychczas nie otwierano rocznie więcej, niż przeciętnie 1,700 szkół ludowych; tymczasem zaś, dla zachowania *status quo* szkolnictwa, należałoby ich obecnie otwierać corocznie 5,082 (przy wieku szkolnym od lat 5—14) i 2,606 (przy czteroletnim okresie szkolnym). Mimo więc żywszego ruchu w sprawie szkół początkowych, który daje się od kilku lat zauważyć, stan oświaty ludu, zobrazowany przez cyfry powyższe, pozostawia wiele bardzo do życzenia.

Niezmiernie ciekawe są również dane statystyczne, ogłoszone w jednym z ostatnich numerów dziennika *Russkija Wied.* W początkach XIX stulecia — czytamy tam — wydatki ministeryum oświaty stanowiły 2,5% budżetu państwowego, około r. 1890 — 2,6%, poczem cyfra ta spadała stopniowo do 2, 1,9 i 1,8% (w r. 1901). Na rok bieżący wzrośnie do 36,6 milionów, tj. 1,9%. Że jednak i inne ministerya wydają także na szkoły, ogólna więc liczba rozchodów na oświatę stanowi 3,7% wydatków państwowych.

Wyniki zabiegów około oświaty unaoczniają się w następujących cyfrach. W początku r. 1899 liczba wychowańców szkół wszelkich rodzajów i stopni dochodziła do 4,200,000, co nie jest cyfrą bardzo pokaźną, gdyż w Japonii, mającej trzy razy mniej mieszkańców, niż Rosya, już w r. 1888 było 3 miliony uczniów (w Rosyi w r. 1886 było ich zaledwie 2 mil.). Powyższa cyfra 4,2 miliona stanowi 3,2% ogółu mieszkańców państwa, i jedna szkoła przypada na 237 w. kw. i 1,652 mieszk. Dodać należy i to, że 96% szkół początkowych ma tylko jedną klasę, tak iż jedna szkoła dwuklasowa odpowiada przeciętnie 43,520 mieszk., zajmującym swemi siedzibami przestrzeń 6,258 w. kw. Wreszcie procent uczniów, kończących całkowity kurs szkoły ludowej, w stosunku do ogółu jej wychowańców, stanowi zaledwie 9,9%. Nakoniec szkoły te są rozłożone w różnych okolicach Rosyi bardzo nierównomiernie: są gubernie szczęśliwsze, uposażone w nie względnie sowicie, jak np. Tulska, gdzie jedna szkoła przypada na 14 w. kw. i 760 m., lub Liflandzka (24 w. kw. i 790 m.); są i inne niezmiernie pod tym względem ubogie, jak np. okrąg Fergański, gdzie stosunek ten wyraża się w cyfrach 3,666 w. i 70,927 m., lub Siemireczeński (7,650 w. kw. i 23,023 m.). Tę samą nierównomierność widzimy i w rozmieszczeniu średnich zakładów naukowych: 7 miast uniwersyteckich posiada więcej niż czwartą część wszystkich szkół tego typu i więcej niż $^1/_3$ uczniów całej Rosyi.

W związku z powyższem pozostaje notatka jednego z poważniejszych miesięczników rosyjskich, *Russkoje Bogatstwo*, dotycząca stopnia wykształcenia: naczelników ziemskich, powiatowych marszałków szlachty, prezesów ziemskich zarządów powiatowych i „sprawników.“ Oto cyfry:

	Z wykształceniem wyższem	średniem	niższem	w tej licz. specyal. wojsk.
Naczelnicy ziemscy	30,80	52,73	16,47	—,—
Marszałkowie . .	40,79	4 ,44	17,76	26,61
Prezesi	29,41	43,03	27,52	23,22
Sprawnicy . . .	21,96	29,49	67,93	25,66

Co zaś do szkół ludowych w Królestwie Polskiem, to, według raportów urzędowych, szkoły dwuklasowe miejskie mają pierwszą klasę przepełnioną (do 100 uczniów), gdy w drugiej liczba uczniów w nader rzadkich wypadkach dochodzi do 20; bywa nawet i tak, że świadectwo z ukończenia szkoły otrzymuje jeden uczeń. To samo i w szkołach wiejskich: kończy kurs nauk zaledwie $^1/_{25}$, $^1/_{30}$ lub nawet $^1/_{40}$ ogółu uczniów; klasy są tak przepełnione, że, kiedy jedna grupa pisze, druga musi stać pod ścianą i czekać swojej kolei; warunki zdrowotne wcale nienajlepsze; izby nizkie, ciemne, zimne, wilgotne, pozbawione wentylacyi; dodać należy i to, że rok szkolny nie trwa dłużej nad 5 miesięcy, gdyż w okresie robót w polu, kiedy każde ręce robocze są tak pożądane, rodzice nie posyłają dzieci do szkoły, lecz na rolę lub na pastwisko.

Sprawa reformy szkoły średniej nie przestaje również zajmować opinii społecznej. W związku ze słowami Najwyższego reskryptu, skierowanego do ministra oświaty, o wychowaniu religijno-moralnem i doborze najgodniejszych ludzi na wychowawców, podniosło się wiele głosów, omawiających z różnych stanowisk teraźniejszy i przyszły stan szkoły.

Jeden z najrozumniejszych wyszedł z łamów *St. Pet. Wied.*, które w dwu artykułach (nr. 160 i 165) zajmują się sprawą poziomu moralnego i umysłowego nauczycieli gimnazyalnych. Wnioski autorów obu artykułów są wcale niepocieszające: dochodzą oni do przekonania, że personel nauczycielski średnich zakładów naukowych nie stoi na wysokości swego posłannictwa; na wydziały historyczno-filologiczne — zdaniem organu ks. Uchtomskiego — szła zawsze część młodzieży, która na przyszłą swoją karyerę nauczycielską zapatrywała się stale jak na zwykłe urzędowanie, a tymczasem pożądane jest, aby ciało nauczycielskie stanowili pedagogowie doświadczeni, ludzie światli, wielkiego taktu i nieposzlakowanego życia, jednem słowem, *ludzie powołania*. Niepodobna nie zgodzić się z temi słowami, jak również i z tem, że kierownicy zamierzonej reformy mają przed sobą trudne zadanie zupełnego odnowienia składu nauczycielskiego szkoły średniej *in capite et in membris*. Powiedział ktoś, że do prowadzenia wojny niezbędne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze; podobnież i do zreformowania szkoły trzeba ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi!..

Sprawa podniesienia rolnictwa nie schodzi z wokandy od chwili powołania rady nadzwyczajnej ku rozważenia potrzeb przemysłu rolnego, o której pisaliśmy w ostatnim liście. Jedną z takich palących potrzeb jest niewątpliwie konieczność uzyskania taniego i łatwego kredytu dla włościanina na przednówek, na zasiewy, na melioracyę. Otóż sprawa ta jest obecnie w stanie opłakanym. Kredyt spoczywa w rękach lichwiarzy wiejskich, zamożniejszych gospodarzy zwanych „kułakami,“ którzy pobierają do 120% rocznie. Od r. 1895 wprowadzono, co prawda, banki i kasy oszczędnościowo-pożyczkowe w rodzaju istniejących gdzieindziej instytucyj systemu Schulze-Delitsch lub Reiffeisena, lecz dotychczas jeszcze nie zdołały one upowszechnić się i wzbudzić zaufania chłopa rosyjskiego. Dowodem tego np. kasy w gub. Połtawskiej, które w r. 1895 miały 4,019 członków, w r. 1901 zaś 4,879, co wskazuje, jak powoli wzrastwa liczba ich uczestników. W wielu okolicach banki takie zupełnie upadły, i niektóre tylko z nich miały chwile względnego rozkwitu. Tak np. cztery banki w gub. Tobolskiej w dwa lata po założeniu, w początkach r. 1897 posiadały już 19,774 rb. kapitału obrotowego, wydały zaś pożyczek na 23,590 rb. Okoliczność czysto zewnętrzna, nowy podział administracyjny gubernii, który zaliczył uczestników kas do różnych gmin, rozerwał łączność i spowodował w r. 1898 upadek i tych pożytecznych instytucyj.

Jeden z członków rady nadzwyczajnej, p. Czichaczew, wykazuje następującą anomalię. Kasy oszczędnościowe posiadają znaczne kapitały, dochodzące w d. 1 stycznia 1901 r. do 762,208,000 rb., umieszczone w obligacyach dróg żelaznych i rencie państwowej; miliony te więc, powstałe z groszowych oszczędności biedaków, nie przyczyniają się w niczem do ich dobrobytu: w pow. Rostowskim np. włościanie, którzy złożyli w kasach przeszło półtora miliona rubli, po dawnemu pozostawieni są samowoli „kułaków.“ Byłoby więc bardzo pożyteczne — wnioskuje p. Czichaczew — gdyby kasy oszczędnościowe, które dotychczas wypompowywały tylko grosz z włościan na użytek kolei żelaznych, mogły udzielać kredytu swoim uczestnikom. Wniosek to bardzo rozumny i obywatelski, chodzi tylko o to, czy wobec zastarzałego rutynizmu da się przeprowadzić.

W ostatnich tygodniach wysunęła się sprawa wywozu mięsa za granicę: w pierwszych dniach czerwca odbyła się rada moskiewskiego Towarzystwa rolniczego, na której postanowiono zawiązać stosunki handlowe z Anglią i obliczono, że można będzie wywozić rocznie 800,000 sztuk bydła rogatego; może to wprawdzie spowodować wzrost ceny mięsa w handlu wewnętrznym o kopiejkę na funcie, ale należy złożyć tę ofiarę na ołtarzu dobra publicznego (!). Trudno oczywiście projekt powyższy pochwalić bezwzględnie. Przedewszystkiem trzeba się zastanowić, czy ofiara nie jest większa od spodziewanej korzyści, czy warto, istotnie, ogładzać chłopa rosyjskiego w celu napychania Anglika wybornym befsztykiem i rozbefem. A potem, czy znajdzie się dość mięsa najlepsze-

go gatunku, zalecającego się do wywozu? Organ fachowy, *Torgowo-Promyszlennaja Gazeta*, oblicza, że mięso wyborowe stanowi obecnie tylko 17% ogólnego dowozu tego artykułu, cóż więc będzie, jeżeli 10% wyślemy do Anglii?

Wogóle wywóz mięsa w ostatnich latach znacznie upada: w latach 1862—67 Rosya wywoziła rocznie, według danych urzędowych, 28,600 sztuk bydła rogatego, od r 1889—93 wywóz roczny stanowił już tylko 10,000 sztuk, później zaś spadał jeszcze bardziej, do 9,500, co stanowi zaledwie $^1/_6$ przywozu tegoż artykułu. To samo daje się zauważyć i w handlu owiec, świń i słoniny; wywóz słoniny np. w ciągu ostatnich czterdziestu lat spadł z 11 mil. rb. rocznie do 390,000 rb.! Hodowla bydła wogóle wzrasta bardzo nieznacznie: np. w Królestwie Polskiem według cyfr, zamieszczonych w ostatnim tomie „Prac Komitetu statystycznego," produkcya roczna bydła rogatego w r. 1870 wynosiła 2,231,500 sztuk, a w r. 1900 tylko 2,975,000 — podniosła się więc zaledwie o 32%, gdy ludność w tym samym okresie wzrosła o 65%.

Nie od rzeczy będzie może przytoczyć tu wyrazy p. Pieszechonowa, który w majowym zeszycie miesięcznika *Russkoje Bogatstwo* zamieścił godny uwagi artykuł p. t. „Centralizacya dochodów." Mowa tu o polityce ekonomicznej ostatnich lat, która, wytknąwszy sobie szlachetne cele stworzenia niezawisłości ekonomicznej kraju i powiększenia jego bogactw, zbłądziła na bezdroża; zależność międzynarodowa nie zmniejszyła się, powiększa się natomiast zależność społeczna, która wyraża się we wzrastającej stale nierównomierności podziału bogactw. Ostatecznie okazało się, że zamożność miasta jest zbyteczna wobec nędzy wsi, powodzenie szczęśliwców — nietrwałe wobec ubóstwa pracującego tłumu, nagromadzenie bogactw — niemożliwe wobec zniżającego się poziomu dobrobytu narodowego. Sprowadza się zaś wszystko do tego, że zamiast uwolnić się od rynków obcych, wyrzuca się za granicę coraz większą ilość wytworów, co wychodzi na własną niekorzyść; zamiast podnosić wytwórczość, trzeba kosztem większych jeszcze ofiar ograniczać jej wzrost żywiołowy. W takim stanie rzeczy p. Pieszechonow uważa za niezbędny przełomowy zwrot w kierunku polityki ekonomicznej.

Z drobnej iskry wielki pożar. W szpitalu św. Mikołaja dla umysłowo chorych w Petersburgu zmarł pewien pacyent. Już wykreślono go z księgi, już go pochowano. Zdawało się, że ziemia zamknęła z nim wszystkie rachunki. Aliści zjawia się posądzenie, że chory zakończył życie wskutek ran, zadanych mu przez służbę szpitalna... Następuje ekshumacya, ekspertyza i śledztwo. Co więcej, wszczyna się w prasie zawzięty spór już nietylko o nieszczęśliwego nieboszczyka, ale o samą zasadę życia szpitalnego, o różne sposoby opieki nad umysłowo chorymi. Zwrócono się znowu do cyfr, z których okazało się, że Berlin ma jedno łóżko szpitalne na 80 mieszkańców, Paryż — na 85, Hamburg— 75, Rzym—90, Lipsk — 118, Buda-Peszt — 100, Petersburg — 150. Przypomniano, że przeciętne miasto rosyjskie wyznacza z ogólnej liczby wydatków rocznych: na zarządy miejskie i pomieszczenia dla nich 12%, na budynki miejskie, pomniki, mosty itp. 12,4, na pożyczki miejskie 6,8, na zakłady naukowe 7,9, na policyę i pomieszczenie dla niej 9,7, na straż ogniową 6,2, na potrzeby wojskowe 7,6, na zapomogę dla skarbu 1,8, na więzienia 1,2, na szpitalnictwo 1%. Tak jest w ogólności. W oddzielnych wypadkach wszakże bywa jeszcze gorzej; tak np. Żytomierz wydaje na szpitale tylko $^1/_4$% ogółu swych rozchodów!

H. Celiński.

STANOWISKO SPOŁECZNE PRACY WSPÓŁCZESNEJ.

V.

Per aspera ad astra! Od nawału faktów nanizanych na nić oryentacyjną opisu, wznieśmy wzrok ku wyżynom teoryi.

Do XIX stul. nauka wogóle nie wyróżniała pracowników, jako oddzielnej klasy. Znała ona tylko ludzi biednych" lub w najlepszym razie, jak to widzimy np. u Ad. Smitha, „pracujących biedaków." Na owych „pauprów" ustalił się w nauce pogląd mniej więcej jednakowy. Wszystko, co krzyżuje ów naturalny porządek rzeczy, jak np. urodzaje lub wysokie zarobki, jest ze stanowiska społecznego niepożądanem. Mandeville upatruje w ubóstwie i ciemnocie wielkiej masy drogocenny talizman społeczny. Oświata budzi, według niego, niezadowolenie, umiarkowany zarobek tłumi potulność, wysoki zaś podsyca przezorność. Z tego samego stanowiska W. Petty potępia taniość zboża, a Franklin, Temple de Witt i A. Young projektują opodatkowanie środków spożywczych. Tylko od czasu do czasu odzywają się głosy szlachetniejsze. W 1769 r. Turgot zaznacza, iż zarobek zaledwie pokrywa najniezbędniejsze potrzeby utrzymania. Wreszcie wielki klasyk Ad. Smith, formułując swą teoryę płacy roboczej, opiera ją na hypotezie, iż bez prywatnej własności gruntów i kapitałów zarobek obejmowałby całkowity rezultat pracy, rósł odpowiednio do jej wytwórczości. Teraz zaś zależy ona od minimalnych kosztów życia i reguluje się odpowiednio do popytu na siłę roboczą. Zapotrzebowanie na ludzi kształtuje płodność warstw pracujących. Teorya ta przechodzi w spadku do epigonów, popularyzujących i komentujących poglądy Smitha i Ricarda. Popyt na siłę roboczą przyjmuje w umyśle, przysięgających na słowa mistrza, eklektyków formę teoryi o t. zw. funduszu roboczym. Ponieważ tylko określona część kapitału społecznego idzie na utrzymanie wyrobników, fabrykanci więc pomimo najszczerszej chęci, nie mogą podnieść płacy. Jest to żelazne prawo, którego człowiek łamać nie może. Jedyne wyjście, jakie pozostaje z tego zaiste smutnego stanu rzeczy, jest następujące: niechaj najmici zadawalają się jeszcze mniejszym zarobkiem, niż dotychczas, w ten sposób żelazny fundusz roboczy, nagromadzany w ogniotrwałych kasach, urośnie a wtedy oczywiście właściciele tych kas pośpieszą czemprędzej podzielić się ich zawartością prawdziwie po bratersku z pracownikami. Że wszelkie stowarzyszenia zawodowe i pretensye są utopią, jest jasnem jak na dłoni. Pierwszy rozwiał radykalnie tę pajęczynę sofizmatów Thornton. Wielki John Stuart Mill, człowiek uczciwy i szlachetny, pod wpływem krytyki Thorntonowskiej odwołał w 1869 r. swą teoryę o żelaznym funduszu roboczym. Z drugiej strony już w początku XIX stul. występuje na arenę obóz społeczny, który zaznacza wpływ pozycyi ekonomicznej wyrobnika na skromność jego żądań. Podwalisko pod naukę o płacy roboczej ze stanowiska różnic klasowych, kładę Charles Hall i Thompson, przyjaciel Owena. Cały szereg wybitnych teoretyków udoskonala i uzupełnia tę teoryę, która znalazła pomnikowy wyraz w „Kapitale." Nowsze badania statystyczne, wpływ stowarzyszeń zawodowych, prawodawstwa społecznego i instytucyj społecznych stwierdziły słuszność zasadniczą tych poglądów, których ornamentyka teoretyczna jest rzeczą drugorzędną. Że jedni posługiwali się t. zw. nadwartością, a drudzy, przemawiający o jeden ton niżej, używają metody psychologicznej, stanowczo zgodniejszej z wymaganiami nowoczesnej teoryi poznania, nie zmienią ani na jotę istoty rzeczy.

To też, według Schmollera, regulowanie się płacy roboczej można zrozumieć tylko, uwzględniając przepaść ekonomiczną pomiędzy dwoma obozami w całej jej rozległości, oraz cały szereg czynników psychologiczno-społecznych, oddziaływających na ułożenie się stosunków odnośnych. W grubych zarysach teoretycznych można przedstawić rzecz w sposób następujący. Wszelki zarobek pracownika nie może spaść poniżej kwoty, która pozwala mu „żyć." Ale pojęcie to jest bardzo względne, o czem świadczy np. stopa żydów w Whitechapelu londyńskim lub mieszkańców jaskiń neapolitańskich. Określenie powyższe jest zatem co najmniej bardzo elastyczne. Z drugiej strony podwyższenie zarobku niezawsze idzie ręka w rękę z podniesieniem stopy życiowej. Klasa pracująca, społecznie uświadomiona i rwąca się namiętnie do uczestnictwa w cywilizacyi, wyzyskuje każde polepszenie płacy dla celów kulturalnych. Wyrobnik tej kategoryi jest zarazem przeciwny wszelkiej zniżce raz ustalonego zarobku. Odwrotnie, tępy pracownik przemysłu domowego, bandos koczujący, nowicyusz, który wczoraj dopiero przybył ze wsi, luzak samotny, jak kołek u płota, ciemny i apatyczny fatalista, który na wszystko ma znaną klasyczną odpowiedź: *Sic vult Deus* (Tak się podoba Bogu) stoją na biegunie przeciwnym. Pomiędzy płacą i odpowiadającą jej stopą życiową z jednej strony, a wydajnością pracy z drugiej — zachodzi, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, ścisły związek. Gdybyśmy chcieli wyłożone tu zasady zastosować do wytłomaczenia zmian, które zaszły w wysokości płacy roboczej od roku 1500 do 1850, musielibyśmy przedewszystkiem zbadać, do jakiej stopy życiowej były przyzwyczajone te grupy, które wyrwawszy się ze starego środowiska, utworzyły zalążek nowoczesnej klasy najmickiej. Chłopi pańszczyźniani, czeladnicy nie mogący osiągnąć tytułu majsterskiego itp., ustanowili—w sposób bierny—pierwotny poziom zarobku, który obniża się lub podnosi przedewszystkiem odpowiednio do popytu i podaży. Podaż siły roboczej rosła wciąż od XVI w. w zachodniej Europie, gdzie ziemi wolnej prawie nie było, a polityka agrarna rządów nie zapobiegała wzmagającej się koncentracyi posiadania gruntowego. Od roku zaś 1789 ludność europejska rozmnaża się z nieznaną dotychczas w dziejach szybkością, co stanowczo nie mogło poprawić położenia. Tymczasem w europejskich koloniach, wskutek nadmiaru wolnej ziemi, stosunki kształtują się zupełnie odmiennie.

Trzeba zauważyć, iż zapotrzebowanie na siłę roboczą nie we wszystkich gałęziach jest w jednakowej mierze pokryte. Pomimo zaprowadzenia wszędzie w nowszych czasach wolności procederu i przesiedlania się, przejście od jednej gałęzi do drugiej napotyka liczne trudności. Już to jedna gałąź cieszy się większą popularnością, już to dostęp do pewnego zajęcia jest utrudniony, wskutek kosztowności fachowego wykształcenia, już to zawód pewien wymaga odrębnych zdolności itd. Najwięcej garną się ludzie — a to właśnie charakteryzuje dobitnie nasze stosunki — do zajęć, niewymagających żadnego uprzedniego przygotowania, ale za to najcięższych, najniebezpieczniejszych, a pomimo to najgorzej opłacanych. Tu konkurencya szaleje w sposób najrozpaczliwszy, tu popyt zawsze pozostaje w tyle za podażą, tu wreszcie szukają schronienia ci, których bezrobocie na dłuższy czas wysadziło na bruk wielkomiejski. Brak zajęcia jest stałem zjawiskiem stosunków współczesnych. Nawet w czasach rozkwitu przemysłowego bezrobocie obejmuje co najmniej ½—1% ludności pra-

cującej. Przyczyniają się do niego chociażby ciągła wędrówka sił roboczych z jednej gałęzi do drugiej lub jednego ogniska przemysłowego do drugiego, dalej choroby, zajęcia sezonowe nieregularne itd. Bezrobocie może jednak przyjąć niekiedy rozmiary groźne dla dobrobytu narodowego. Statystyka wypadków bezrobocia zrobiła dotychczas tak nieznaczne postępy, iż brak w tej mierze niezaprzeczonych danych. Wiadomo np., iż w Ameryce bezrobocie ogarnia niekiedy do 30% ogółu pracujących; w Anglii podobno nigdy nie przewyższało ono 15%. Ale za wiarogodność tych cyfr trudno ręczyć. O ile klęska ta powstaje wskutek rozmijania się podaży z popytem, da się ona usunąć w części przez rozwijającą się dzisiaj organizacyę biur pracy (wykazów pracy). Toczy się obecnie zacięta walka o te instytucye, gdyż pracodawcy słyszeć nie chcą o utrakwistycznem ich ukształtowaniu. O ile jednak bezrobocie wypływa organicznie z charakteru współczesnej produkcyi, jesteśmy zupełnie wobec niego bezsilni. A taką klęską żywiołową właśnie jest rugowanie pracy ludzkiej przez maszynę. Udział bowiem tych dwu czynników zmienia się zależnie od gałęzi przemysłu, jako też od udoskonaleń technicznych, niekiedy zaś pod wpływem innych okoliczności — np. wysokości stopy procentowej lub płacy roboczej. Kiedy i w jakim stopniu maszyna zastępuje człowieka, kiedy na tym punkcie powstaje chroniczne bezrobocie, obniżające wysokość zarobku, to, zdaniem Schmollera, nie da się określić w prostej formułce. Tylko w każdym poszczególnym wypadku, znając historyę danej gałęzi, można rozstrzygnąć tę sprawę. Krzyżują się tu bowiem liczne i najrozmaitsze czynniki, oddziaływające na siebie wzajemnie w rozmaitej formie. Jedno nie ulega wątpliwości, że w miarę rozwoju historycznego cena siły roboczej odgrywa coraz mniejszą rolę w kształtowaniu się ceny wytwarzanych przez nią produktów. W przemyśle bawełnianym północno-amerykańskim zarobki stanowiły 16% ogólnej sumy osiągniętych cen, w wełnianym 23%, w śląskim zaś przemyśle węglowym 46—50%.

Na wysokość zarobku wyraźniejszy wpływ od ilości zapotrzebowania wywiera zresztą jego intensywność. Do zawarcia kontraktu najmu pracy przystępują z jednej strony osoby, zasobne w środki, znające położenie rynkowe, pewne siebie, mogące czekać i niezależne, z drugiej zaś ludzie, którym każda zwłoka, każda przerwa w zajęciu grozi głodem i chłodem. Trzeba wyjątkowo pomyślnych warunków, niezwykłego rozkwitu przemysłu, doskonałych instytucyj społecznych, ścisłej organizacyi politycznej i ekonomicznej, oświaty i rozbudzenia samopoczucia społecznego, aby pociągnąć nieco na dół jedną z szal, która wciąż podskakuje w górę. Dwa opisane poprzednio okresy degradacyi i zubożenia mas roboczych ilustrują wymownie doniosłość organizacyi społecznej. Epoka od r. 1550 do 1700 przypada na czas, kiedy stare ostoje ustroju cechowego padają, kiedy pozostają tylko zmurszałe i zblakłe pozory starodawnej organizacyi, nie będące w stanie obronić najmity od wyzysku. Niezmienność nominalnej płacy (wyrażonej w pieniądzu) zadawala pracownika, pomimo jego stopniowego staczania się w przepaść ubóstwa. Co w okresie tym zdziałał niedorozwój społeczeństwa, będącego na rozstaju, tego dokonało świadomie ogłupiające tumanienie manczesterczyków w latach 1780—1850. W sposób bezczelnie cyniczny pomijano nędzę, winszowano najmicie jego „wolności," nie pozwalano mu łączyć się ekonomicznie „dla jego własnego dobra" i w imię żelaznych praw natury, popierano świadomie burzenie stosunków patryarchalnych, wystawiano bezbronnego nieboraka na pastwę konkurencyi, zastępowano go dowolnie kobietami i dziećmi. Rosła nędza, rosła rozpacz, nareszcie po długich i ciężkich cierpieniach, kiedy manczesterczyk bił jeszcze hałaśliwie w tympany zachwytu, spadała ludowi stopniowo łuska z oczu.

Widzieliśmy wyżej, iż od r. 1850, chociaż wolno, nie na całej linii, z przerwami i zygzagami, płaca robocza zaczyna nareszcie rosnąć.

Chcielibyśmy jeszcze, nim poruszymy na zakończenie ten ostatni punkt, zwrócić uwagę na nieustanne wahania w poziomie zarobku, trwające po dzień dzisiejszy. Niekiedy wahania te przyjmują formę potworną i wstrząsają bytem pracownika. W okresie 1860—1880 r. w angielskiej fabrykacyi artykułów masowych powstał w celu zapobiegnięcia temu zjawisku system „skali ruchomej." Zarobek miał rosnąć i spadać w stosunku do wzrostu lub zniżki cen. Ten to system wprawił w swoim czasie w zachwyt nowoczesnych apostołów harmonii społecznej. Niestety, okazało się, iż takie wahania łatwo wytrzyma przedsiebiorca, ale bardzo ciężko pracobiorca. Z biegiem czasu jedna grupa najmitów za drugą wyrzekały się tego talizmanu zgody i oświadczały się za t. zw. „living wages" (wynagrodzenie według stopy życiowej). Zarobek nie powinien spadać poniżej granicy minimalnej, nakreślonej przez niezbędne środki utrzymania, ale może iść w górę zależnie od konjunktury. Właśnie wyzyskaniu tych konjunktur i uporczywemu obstawaniu przy pewnej minimalnej, tradycyjnie przekazanej granicy, należy przypisać wspomnianą wyżej zwyżkę zarobku, datującą się od r. 1850. Gdy ruch przemysłowy ożywiał się i wzrastał, popyt na siłę roboczą rósł, najmita wnet podnosił swą stopę życiową, przyzwyczajał się do niej, a gdy niektóre potrzeby kulturalne weszły mu w krew i ciało, trzymał się ich oburącz. Z pogorszeniem się konjunktury, wsparty o prawodawstwo, instytucye i organizacyę społeczną, żadną miarą nie cofał się wstecz. Wolał wywędrować, jąć się innego zarobku, czasowo głodzić się nawet, ale nie zgadzał się na warunki, które zrobiłyby zeń znowu chronicznego głodomora. Na szczęście, pomimo kryzysów ekonomicznych, druga połowa XIX stulecia odznaczała się niesłychanym rozkwitem interesów. W dodatku ceny artykułów utrzymania spadały w całej Europie od 1878—1900 r. Pracownik stopniowo zrozumiał i zżył się z myślą, iż zgodnie z Biblią, nie samym chlebem człowiek żyje. Jednocześnie wszczął się ruch polityczny, który wywierał nacisk na działalność parlamentu. Sumienie ogółu budziło się, a myśl o reformie społecznej szerzyła się. W ten sposób płaca robocza wzrosła stopniowo na gruncie organizacyi ekonomiczno-politycznej i zaczęły powstawać z łona prawodawstwa instytucye społeczne.

Pierwszy krok został zrobiony. Miejmy nadzieję, iż ludzkość będzie dalej kroczyła raz obraną drogą. I pamiętajmy, że nawet podczas długich przerw w tryumfie postępu przypomina ona, podług słów Guyau, owe zwycięzkie wojska starodawne, co to w zmęczeniu maszerowały śpiąc, ale w chwili decydującej, budziły się i staczały bitwę zwycięzką.

H. Przedm.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Erotyka „Wzmiankarza."

O! Niema prawdziwej miłości i przyjaźni? Raczej należałoby powiedzieć, że Eros mężko-mężki znowu zstąpił na ziemię i splata tak ścisłe węzły między mężczyznami, o jakich zaledwie marzył wielbiący go Plato. Bo czemże są rozkoszne dreszcze, które uczuwał Sokrates na widok piękności Alcybiadesa, wobec zachwytów, jakie objawia każdy członek redakcyi poczytnego „Wzmiankarza," rozpatrując wdzięki swoich towarzyszów? A oni jakiemi uniesieniami mu odpłacają! Człowiek jest najbardziej pochlebiającem zwierciadłem dla tych, których miłuje. Małpa, przejrzawszy się w tem zwierciedle, widzi Wenerę, kogut — Apolina, wół — Jowisza. To też grono redakcyjne „Wzmiankarza," przeglądając się wzajemnie w sobie, omdlewa z upojenia. Kapistran woła: ach, jaki ten Dydak jest wspaniałym publicystą! Dydak znowu: ach, jakie ten Kapistran pisze cudowne powieści! Pafnucy: ach, jakim głębokim krytykiem jest nasz Telesfor! A Telesfor: panowie i panie, wierzcie mi, wolę Dydaka, Kapistrana, Telesfora, niż całą Australię! I tak dalej.

Jakkolwiek miłość nie jest kwiatem paproci, jest jednak kwiatem rzadkim. Przez wzgląd na to nie występowalibyśmy przeciwko niej nawet w tej postaci, gdyby nie obawa, że całujący się i podnoszący w górę kochankowie „Wzmiankarza" gotowi milczących świadków tego szczególnego widowiska uważać za współwyznawców kultu swej wzajemnej adoracyi. Nie, drogie pawie, chwalące się ciągle ustami przyjaciół, my w was widzimy tylko dumnie rozpięte ogony i bardzo małe główki.

Ognisko informacyjne.

Nasz swojski ekonomista, który biega z bacikiem i popędza ziomków do „dźwigania przemysłu krajowego," nie zawaha się nad porównaniem nas z Niemcami lub Anglikami pod względem sił i środków wytwórczości. Oni mogą fabrykować armaty lub okręty, a my nic? — woła z zapałem. Trzeba przyznać, że te deklamacyjne rady, te dziwaczne zestawienia, te dziecinne pretensye bywają nieraz bardzo zabawne, ale społeczeństwo, które ich z upodobaniem słucha, pomimo tej śmieszności okazuje, że pragnie dociągnąć się do miary narodów wielkiej kultury. Jest to, bądź co bądź, ambicya szlachetna. Ostatnie wypadki i podniety spotęgowały ją znacznie. Dla wyzwolenia się od Niemców, dla pomnożenia swego bogactwa materyalnego pragniemy więcej produkować. Ale ku czemu się zwrócić bez niebezpieczeństwa? Zwykle ludzie, zamierzający zbierać plony z tego pola, nie potrzebują rady, a przynajmniej nie szukają jej u literatów; nie ulega wszakże wątpliwości, że prasa może niejedno położenie wyjaśnić i niejedną drogę wskazać. Obok niej cennych również usług oczekiwać należy od stowarzyszeń z charakterem ekonomicznym. I dlatego uważamy za bardzo szczęśliwy pomysł (*Gazety Polskiej*) utworzenia przy Towarzystwie przemysłu i handlu osobnej „Delegacyi wyrobów krajowych," której celem ma być głównie „walka z tymi przesądami i uprzedzeniami przeciw wyrobom krajowym, jakie się zakorzeniły śród społeczeństwa naszego." Nie wiemy, jaka będzie taktyka tej walki, ale zdaje nam się, że najwłaściwszą i najskuteczniejszą byłaby taka, któraby, na podstawie ścisłych badań i umiejętnyc rozważań wskazywała naszej wytwórczości placówki niezajęte, a do opanowania możliwe. Z tych pouczeń nie korzystałby wielki kapitał, znający bardzo dobrze kierunek najzyskowniejszych przedsięwzięć, ale skorzystałby średni i mały, który nie zna dokładnie rynku, a nie jest w stanie i nie chce ważyć się na karkołomne ryzyko.

Niepotrzebny zaszczyt.

Nad sławą ludzką pracuje nietylko szacunek, ale i nienawiść. Trudno nawet byłoby powiedzieć, które z tych dwu uczuć przypina jej lotniejsze skrzydła. Żaden patron germanizmu z trójcy, ochrzczonej

imieniem *H. K. T.*, nie był przedtem szerzej znany i nie odznaczył się niczem, zanim rozwinęli chorągiew proroków pruskich przeciw niewiernym Polakom. I w gruncie rzeczy były to trzy złe buldogi, bardzo głośno szczekające i bardzo zajadle kąsające. Wyśmiewano ich, znieważano, piętnowano, a ostatecznie przyznano im... wielkość, której reporter *Kuryera Poznańskiego* spłacił dług opisem „siedziby hakatysty“ — Kenemanna. Jest to właściciel Klęki i kilku innych folwarków, zwyczajny „dziedzic.“ Że trzyma u siebie tylko Niemców, że od nielicznych robotników polskich wymaga zniemczenia, począwszy od imion, a skończywszy na mowie, o tem wiedzieliśmy lub domyślaliśmy się. Jedynym szczegółem nowym jest chyba to, że p. Kenemann nosi „duży kapelusz.“ Czy dla tego kapelusza warto było jeździć do Klęki i opisywać szeroko bezcelową wyprawę? Zdaje nam się, że nie, i że namiętność poszukiwania i ogłaszania „sensacyjnych rewelacyj“ zaprowadziła *Kuryer Poznański* (a za nim *Warszawski*) za daleko, bo aż do punktu, w którym bezwiednie i mimowolnie robi się niepotrzebny zaszczyt nikczemnemu człowiekowi, zajmując uwagę publiczną drobiazgami jego prywatnego życia.

W sprawie pracowników sklepowych.

Od jednego z młodych przedstawicieli kupiectwa otrzymaliśmy list w słusznej i pilnej sprawie unormowania dnia roboczego dla licznej rzeszy pracowników sklepowych, mających dziś, jak mówi bez przesady p. J. Gelbfisz w *Gońcu handlowym*, o wiele gorszą dolę, niż robotnicy fabryczni i wyrobnicy dzienni. W przeważnej liczbie sklepów dzielnicy Nalewkowskiej (nietylko tam zresztą, zobacz zwłaszcza sklepy kolonialne!) pracownicy zajęci byli do niedawna po *szesnaście* godzin na dobę, z godzinną przerwą na obiad, gdyż sklep, otwierany o 7-ej z rana, zamykano dopiero o 11-ej wieczorem. Rzecz prosta, że biały murzyn, zajęty w takich warunkach sprzedażą perkalików lub koronek, nie mógł myśleć po wyjściu z za lady nietylko o systematycznej pracy nad uzupełnieniem swego wykształcenia, lecz wprost o wzięciu do ręki książki lub gazety, a nawet o jakiejkolwiek rozrywce. To też, jak twierdzi nasz korespondent, w dzielnicy wymienionej jako tako wykształcony subjekt lub ekspedyent handlowy jest dziś nader rzadkim okazem.

Obecnie i dla tej kategoryi pracowników zdaje się świtać zorza lepszej doli. Stu dwudziestu kupców z różnych gałęzi handlu zgodziło się zamykać sklepy już o godzinie 8-ej wieczorem, a dwudziestu poważnych rzeczoznawców tych stosunków uznało reformę za możliwą do uskutecznienia i ze wszech miar pożądaną. W związku z tem pozostaje projekt pp. Lewity i Podliszewskiego założenia szkoły wieczornej dla żądnych wiedzy pracowników handlowych.

Lecz żadna poważniejsza reforma nie może się obejść bez oporu ze strony zakamieniałych zwolenników rutyny, nie uwzględniających najistotniejszych potrzeb współczesnego człowieka, o ile one zdają się uderzać w ich kieszeń. I tu więc znaleźli się uparci obrońcy dawnego porządku rzeczy, nie chcący się zastosować do słusznych żądań pracowników i do powszechnego głosu opinii publicznej. W sprawie tej jednak, nim ona uregulowana zostanie na drodze prawodawczej, publiczność właśnie, odczuwająca chyba ciężką dolę młodzieży, zamkniętej przez 15 lub 16 godzin z rzędu w brudnej i ciasnej izbie sklepowej, mogłaby zabrać głos rozstrzygający. Nie robiąc pod żadnym pozorem zakupów po godzinie 8-ej wieczorem, co przecież do uskutecznienia nie tak trudne, można zmusić prędko najoporniejszych do uczynienia zadość najelementarniejszym wymaganiom sprawiedliwości.

Czy jednak zdobędziemy się na energiczne współdziałanie w tej słusznej sprawie? Będzie to poniekąd probierzem stopnia naszej kultury i ludzkości, a zależy w części i od prasy, która dotąd jakoś, zajęta dymisyą Salisburego i żałobą Wenecyi z powodu runięcia „Campanili,“ lekceważyła trochę usiłowania pracowników handlowych wydobycia się z rozpaczliwego niemal położenia. *b.*

Niemcy o deklaracyi.

Znana deklaracya poznańska polskich członków sejmu prowincyonalnego, jak się spodziewać należało, doczekała się licznych komentarzy ze strony prasy niemieckiej. Jeden z jej drugorzędnych organów posunął swe rozdrażnienie aż do twierdzenia, że byłoby rzeczą „najprostszą“ wysłać paru z pomiędzy tych „polskich fronderów z wysokoszlacheckiemi nazwiskami“ do Wisłoujścia lub jakiej innej przyjemnej fortecy i trzymać ich tam dotąd, dopóki się nie przekonają, iż przy całej swobodzie konstytucyjnej w Prusach „polska bezczelność“ ma swoje granice. Inne pisma odzywają się z większem umiarkowaniem, a nie brak nawet głosów, zwłaszcza ze strony pism katolickich, wyrażających się o deklaracyi przychylnie lub nawet pochwalających ją bez zastrzeżeń.

Treść zresztą tego aktu nie przeraziła zbytnio naszych przyjaciół berlińskich. Natomiast dwulicowość deklaracyi i ten jej brak godności, zaznaczone przez nas w numerze poprzednim, uderzyły również niektóre dzienniki niemieckie i dały sposobność *Berlin. Tageblattowi*, którego niepodobna chyba posądzić o sympatye polskie, do wypowiedzenia paru zupełnie słusznych uwag: „Sposób, w jaki Polacy tonem swej deklaracyi i niektórymi zwłaszcza jej zwrotami pragną osobiście skaptować sobie cesarza, nie ma nic wspólnego z godnością. Jeżeli chcecie demonstrować przeciw polityce cesarskiej względem Polaków, dobrze, ale czyńcie to z męzką, uczciwą godnością, która przystawałaby mężom, poczuwającym się do wyrządzonej im krzywdy. Demonstracya, połączona z usprawiedliwieniami się, *godnemi knechtów*, jest rzeczą śmieszną.“

Jak widzimy, i od wroga można usłyszeć czasem nietylko słowa prawdy, ale i — dobrą radę. *b.*

Pielgrzymki a hygiena.

Dr. Karol Rozenfeld w ostatnim zeszycie *Zdrowia* poruszył sprawę, która już oddawna powinna była zostać rozstrzygnięta. Mamy na myśli pracę jego o warunkach hygienicznych pielgrzymek do Jasnej Góry, pozostawiających, jak zaznaczano już parokrotnie, bardzo wiele do życzenia. Częstochowę odwiedza corocznie do 400,000 pątników, i nikt dotąd nie pomyślał poważniej, aby tym krociom ludzi, z których mieszkańcy tego miasta i prowadzących do niego szlaków ciągną tak znaczne korzyści, zapewnić jakie takie udogodnienia; spożywają pokarmy niezdrowe i nieświeże, brak im czystej wody do picia, sypiają pod gołem niebem lub gdzieś na strychu na słomie, po kilkadziesiąt osób pokotem, bez różnicy wieku i płci itd. A przecież na pielgrzymkę ściągają ludzie z różnych okolic kraju i w razie jakiejś choroby epidemicznej Częstochowa może stać się najlepszym rozsadnikiem zarazy, więc czas by już chyba zrobić i tu coś dla słusznych wymagań hygieny i kultury. Dr. Rozenfeld poruszył sprawę ważną a drażliwą. Dodajmy, iż zdołał on również przeprowadzić w częstochowskiem Towarzystwie lekarskiem kilka uchwał rozumnych. *h.*

Miał węglowy.

W pismach codziennych dają się słyszeć skargi, że obecnie, jadąc koleją Wiedeńską, nie można wcale wyglądać przez okno z powodu zasypywania oczu przez iskry z miału węglowego, używanego na parowozach zamiast węgla, oczywiście w celach oszczędnościowych. Gdyby tylko o widoki chodziło, rzecz byłaby ostatecznie mniejszej wagi; nie zapominajmy jednak, że prócz „pasażerów“ jest jeszcze w pociągu obsługa parowozu, która, jak to liczne przykłady stwierdziły, wskutek ciągłego obcowania z miałem zapada ciężko na oczy...

A teraz zobaczmy, jak wyglądają wyniki tej gospodarki wobec ostatecznego celu wszech rzeczy kolejowych— wysokości dywidendy. Chory na oczy maszynista nie widzi sygnału ostrzegawczego, pociąg się rozbija, pasażerowie tracą życie lub odnoszą rany — i kolej wypłaca krocie odszkodowania. Gdyby jeszcze nie to piekielne prawo o odszkodowaniach!

Ale pocóż przypuszczać takie okropności! Tymczasem wszystko w porządku. A że kilku czy kilkunastu ludzi rozchoruje się i oślepnie, o to mniejsza! *Vogue la galère!*

Podziwiać więc tylko trzeba pomysłowość zarządu w wynajdywaniu coraz to nowych źródeł oszczędności. Nie przebrzmiał przecież jeszcze głośny niedawno wypadek: jeden z urzędników dopuścił się znacznego deficytu, a zarząd, który nigdy nie może ponieść straty, z najzimniejszą krwią, na pokrycie tej sumy, okroił... gratyfikacye noworoczne pracowników. *g.*

BADANIA NAUKOWE.

Metoda ankiet monograficznych.

II.

Monografia pracowni obejmuje podług du Maroussema następujące punkty: I) Środowisko. Idzie o oznaczenie miejscowości: miasta, dzielnicy, jej charakteru itp. II) Forma ustrojowa przedsiebiorstwa: własność jednostki, spółka akcyjna, współdzielcza itp. III) Położenie społeczne kierownika przedsiebiorstwa. IV) Organizacya handlowa: *a*) sposób nabywania materyałów, ich pochodzenie itd., *b*) sposób zbytu, wystawy, ogłoszenia, odbiorcy, zamówienia itp. V) Organizacya wytwórcza: *a*) podział przedsiebiorstwa na części; *b*) statystyka personelu wraz z jego klasyfikacyą, czy stały, czy niestały itp.; *c*) podział pracy; *d*) zarobki, długość pracy na dobę, sezony itd. VI) Obroty, koszty produkcyi i zyski czyste. Dane do takiej monografii otrzymać można jedynie za pomocą osobistego zwiedzenia i rozmowy z kierownikami, lecz przedtem M. uważa za niezbędne przygotować się do tej wizyty, a to najpierw dlatego, żeby ona nie trwała za długo, nie zabrała wypytywanemu zbyt wiele czasu i nie wyprowadziła go z dobrego usposobienia, powtóre zaś dlatego, żeby mieć już z góry jakie takie punkty oparcia do krytyki otrzymywanych informacyj. Należy więc zapoznać się z historyą przedsiebiorstwa— o ile ono ma historyę — i z jego projektami, sprawozdaniami, jeżeli były ogłaszane, co jest ułatwione, jeśli występowało ono na jakich wystawach; oczywiście, rozumieć się trzeba na buchalteryi, aby módz się zoryentować w księgach, jeśli nam je zechcą pokazać. Ale najważniejszą częścią przygotowania będą rozmowy z „sąsiadami,“ oparte na zasadzie, że „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi,“ czyli z kolegami po fachu, z kupcami, pozostającymi w stałych stosunkach z fir-

mą, z „powagami fachowemi,“ urzędnikami stowarzyszeń, jeżeli te istnieją — itp. Później jeszcze powtarzać trzeba będzie rozmowy z nimi, względnie też, jeśli to możliwe, z osobami należącemi do personelu firmy, a to w celu możliwie najściślejszego skontrolowania informacyj, dostarczonych przez tego, kto służy za przewodnika podczas osobistej wizyty. Co do odwiedzin samych, to stawić się na nie trzeba z gotowym i dobrze zapamiętanym kwestyonaryuszem, umieć pytać, czego naturalnie żaden podręcznik nie nauczy, wreszcie wiedzieć, czy i kiedy można wyciągnąć notatnik i zapisywać, czy też charakter rozmowy wymaga zapamiętania jej—choćby nawet z cyframi — i zanotowania dopiero w domu.

Autor nie ukrywa, że cała czynność wywiadowcza ma w sobie coś przykrego, lecz każe zapomnieć o tej przykrości ze względu na cel i pożytek wiedzy. Naukowy, elementarny zmysł krytyczny nie pozwala spuścić się na jednostronne informacye, dawane przez tę lub ową stronę, mimowoli nawet zabarwiającą rzeczywistość w pewien sposób. Rzecz to nieunikniona, że badacz spotyka się nieraz z nieufnością; jednak sam fakt opracowania tą metodą tylu monografij (przytoczonych w numerze poprzednim), z których każda wymagała osobistej ankiety w kilkunastu pracowniach, świadczy przecie, że—przynajmniej w społeczeństwie tak kulturalnem i ekonomicznie rozwiniętem, jak Francya — przemysłowcy i rzemieślnicy umieją zrozumieć i ocenić wartość tych ankiet i nie mają za złe poszukiwaczowi, że otrzymywane informacye poddaje za pomocą rozmaitych sposobów kontroli samodzielnej.

Monografia rodziny wymaga może jeszcze większej zręczności, zmysłu krytycznego i odwagi cywilnej, niż monografia pracowni. Tu już samo zapoznanie się z odpowiednią rodziną połączone bywa z różnemi trudnościami, i to nawet w takiej Francyi, gdzie przepaść towarzyska między klasami na wielu punktach została już zasypana, gdzie uniwersytety ludowe, towarzystwa gimnastyczne itp. dają możność zawiązania stosunków. Trzeba jednak uciekać się do pomocy sklepikarza, to znów komuś wytłomaczyć naukowe i praktyczne znaczenie takich badań, gdzieindziej zapewnić sobie pomoc obietnicą niewielkiego wynagrodzenia itd.; z tem wszystkiem często próby się nie udają, czasem zaś można być wziętym za — komornika, szczególniej jeśli się przyjdzie z teką pod pachą. Maroussem od takiego wypadku nigdy z teką nie chodzi. Długoletnia jego praktyka obfituje i w takie humorystyczne epizody i w niepowodzenia, ale także w rezultaty pomyślne, które stają się udziałem tego, kto się zrazić nie da.

Środkiem ciężkości monografii rodziny jest budżet domowy. Jednak w rozwiniętej formie monografii, u Le Play'a, budżet poprzedzony jest aż trzynastoma pozycyami „uwag przedwstępnych,“ dotyczących: natury gruntu, przemysłu, ludności otaczającej; stanowiska, zajmowanego wśród otoczenia; własności: posiadanych oszczędności, narzędzi, względnie innego majątku; *subwencyj;* pod tym terminem rozumie Le Play i jego szkoła, wraz z Maroussemem, wszystkie dochody dodatkowe do bezpośredniego zarobku, zarówno otrzymywane w pieniądzach (np. jakieś zapomogi dobroczynne itp.), jak w naturze, a więc np. węgiel wydawany przez kopalnie, gałęzie, zbierane na cudzym gruncie, bezpłatne nauczanie dzieci w szkole rządowej, miejskiej lub fabrycznej itp. Dalej mowa jest w uwagach przedwstępnych o rodzaju i ilości pracy, wykonywanej przez rodzinę; o rodzaju i rozkładzie jedzenia; opisuje się mieszkanie, umeblowanie, odzienie; rozrywki; historyę rodziny, czyli pochodzenie ojca i matki i główne fazy, które rodzina przechodziła; wreszcie — udział w instytucyach oszczędności, ubezpieczenia itp. Następuje budżet, który wyraża ściśle w cyfrach to, co mniej więcej spisano w uwagach przedwstępnych. Budżet dochodów dzieli się na cztery działy: dochód z własności, subwencye, zarobki i dochód z przemysłu na własną rękę; budżet rozchodów — na pięć działów: pokarm, mieszkanie, odzienie, potrzeby duchowe wraz z rozrywkami i potrzebami zdrowia; wreszcie — nakłady na przedsiębiorstwa własne, długi, podatki i ubezpieczenia. Cechą charakterystyczną budżetu Le Play'owskiego jest, oprócz nadzwyczajnej szczegółowości, jeszcze istnienie dwóch kolumn cyfr przy każdej pozycyi: mianowicie dochodów i rozchodów w pieniądzach i w naturze — te ostatnie notuje się, obliczywszy ich wartość na pieniądze. W ten sposób jeden i ten sam schemat budżetu daje się zastosować do rolników i robotników przemysłowych, do koczowników uralskich i do paryżan. Prócz tego do budżetu muszą być dołączone rachunki, służące mu za podstawę: wylicza się w nich jak najszczegółowiej np. każdą sztukę odzienia, ile kosztowała, jak długo się nosi itp. Wreszcie po budżecie rodzinnym następują różne dane dodatkowe, między innemi monografia pracowni, służącej członkom rodziny itp.

Wzór ten jest przestrzegany dotychczas w wydawnictwie towarzystwa ekonomii społecznej „Robotnicy europejscy“ i wydaje monografie dużej bezwątpienia wartości *); ale jest zbyt szczegółowy, zbyt trudny i ciężki, wskutek czego nie nadaje się, jako narzędzie dla celu obszerniejszego. Focillon w swych „Instrukcyach“ twierdzi, że wypełnienie go wymaga aż sześciu wizyt u danej rodziny, po 2 godziny każda — co tylko w wyjątkowych wypadkach jest możliwe. Prof. Bücher znów radzi dawać wybranym rodzinom kwestyonaryusze do wypełniania przez cały rok — co nadzwyczaj rzadko się udać może. To też Maroussem, któremu chodziło o szybkie otrzymywanie wyników ogólnych, uprościł znacznie wzór Le Play'owski. Jego monografia rodziny składa się przedewszystkiem z budżetu, którego pozycye są następujące:

A) Dochody. I) Własność: *a*) nieruchomości; *b*) ruchomości, papiery; *c*) narzędzia itp.; *d*) gotówka. II) Subwencye: zapomogi, szkoły bezpłatne, ubezpieczenia itp. III) Praca (zarobki). IV) Zyski z przemysłu własnego (o ile pochodzą ze sprzedaży).

B) Rozchody. I) Jedzenie: *a*) chleb, *b*) jarzyny, *c*) mięso, *d*) napoje. II) Mieszkanie: *a*) komorne, *b*) opał, *c*) światło, *d*) umeblowanie. III) Odzienie; *a*) samo odzienie, *b*) pranie. IV) Potrzeby duchowe, rozrywki i zdrowie: *a*) kościół itp., *b*) jałmużny, zapomogi, *c*) rozrywki, *d*) leczenie. V) Długi, podatki, ubezpieczenia.

C) Rezultat. Oszczędność lub deficyt.

W tym budżecie istnieje tylko jedna kolumna: pieniężna. Dochody i rozchody w naturze notuje się, lecz się ich nie oblicza na pieniądze i nie sumuje. Dołącza się do budżetu trzy dodatki: spis członków rodziny z ich wiekiem, zajęciem itp.; opis mieszkania, o ile możności z fotografią; krótką historyę rodziny.

Bardzo ciekawe są teraz rady Maroussema co do sposobu zdobycia potrzebnych danych. Zapoznając się z odpowiednią rodziną, trzeba się już przedtem, kogo się da, wypytać o wszystko, o co wypytać można: pośrednik w zawarciu stosunku niejedno powiedzieć potrafi zarówno co do rozchodów, jak dochodów; co do tych ostatnich, uprzednio przeprowadzona ankieta monograficzna pracowni, warsztatu, może dostarczyć danych. Przygotowanie to służy do kontroli (którą jeszcze i po rozmowie powtórzyć trzeba), ale też i do tego, aby wypytywanej rodziny długo nie nudzić. Maroussem ogranicza wizyty do trzech, wszystkie razem zaś powinny, zdaniem jego, trwać najwyżej 5 godzin.

Na pierwszej wizycie należy się dowiedzieć, z kogo składa się rodzina, przypatrzyć się, jak mieszka. To zupełnie naturalny początek. Potem odrazu spytać o dotychczasowe dzieje rodziny. To, przy odpowiedniem zachowaniu się gościa, otwiera usta, wzbudza zaufanie. Następnie—wydatki na mieszkanie, a to dlatego, że najłatwiej, najprościej obliczyć się dadzą: każdy je pamięta. Wreszcie — rzecz trudniejsza: wydatki na pokarm, podług pozycyj, najpierw koniecznych, potem mniej koniecznych. Lecz pytanie odrazu o sumę całoroczną zwykle nie doprowadzi do skutku: ktoby to obliczał! Trzeba poprzestać na sumie z okresu krótszego — najlepiej tygodniowej. Tę sobie gospodyni łatwo przypomni; tylko trzeba pamiętać, że pozycya ta bywa inna w zimie, nieco inna w lecie. Wystarcza potem pomnożyć każdą przez ilość tygodni letnich i zimowych; we Francyi 39 i 13. Otrzymana suma będzie, naturalnie, tylko w przybliżeniu dokładną — ale taka dokładność zupełnie wystarcza.

Trzeba ciągle uważać, czy się już gospodarzy nie znudziło, umieć przerwać w odpowiedniej chwili, zostawić po sobie dobre wrażenie, zapowiedzieć powrót—i wrócić za jakie dwa tygodnie. Czasem zbudzona nieufność gospodarzy zamyka gościowi drzwi przed nosem lub spotyka go zupełnem milczeniem. Wtedy niema co: trzeba szukać kogo innego. W przeciwnym razie—korzystać i pytać o ubranie, a ponieważ pozycya ta, połączona z długiem wyliczaniem, obrachowywaniem kosztów i trwałości każdej sztuki, jest najnudniejsza, przeplatać ją zajmującemi, ożywiającemi pytaniami co do pozycyi IV i V: potrzeb duchowych, składek, podatków, i t. d., a w związku z tem badać już i dochody, mianowicie pytać o zarobki, które znów ściśle się łączą z pozycyą IV: zyskiem z przemysłu—jeśli robotnik pracuje dla przedsiębiorcy u siebie w domu, i o „subwencye.“

Po drugiej wizycie można powiedzieć, że to już koniec, a potem znów za parę tygodni przyjść z gotowym szkicem budżetu i obok podziękowań prosić o potrzebne dopełnienia, względnie wyjaśnienia, sprostowania, i starać się otrzymać zwykle najbardziej ukrywane dane co do punktu I: dochodów z własnego majątku, z oszczędności, może z kawałka gruntu, posiadanego przez krewnych gdzieś na wsi — itp.

Po dokonaniu ankiety monograficznej co do pracowni i co do rodzin, można przystąpić do redakcyi całej „monografii rzemiosła,“ czyli gałęzi produkcyi, trzymając się mniej więcej następującego planu: I) Miejscowość i otoczenie. II) Stopień i rodzaj zależności danej gałęzi wytwórczości od handlu zewnętrznego i wewnętrznego. III) Statystyka przedsiebiorstw i robotników. IV) Podział na grupy *) i ich charakterystyka. V) Próbki monograficzne: pracowni i rodzin. VI) Położenie przedsiebiorców: zbyt, rozmiary rynku, stan pomyślności czy kryzysu, możliwy wpływ rządu na zamówienia, obroty i zyski, stopień trudności założenia samodzielnego przedsiebiorstwa. VII) Położenie robotników: długość pracy, zarobki. VIII) Stosunki między przedsiebiorcami a robotnikami. IX) Stowarzyszenia. X) Ogólne wnioski i uwagi.

Zupełnie te same główne zasady stosują się i do pięciu innych rodzajów monografii: rynku przemysłowego, organu życia publicznego w mieście, gałęzi produkcyi rol-

*) Istnieją, co do używania go, osobne „Instructons sur la monographie de famille“ Ad. Focillona (1887).

*) Patrz część I niniejszego artykułu.

nej, rynku rolnego, organu życia publicznego na wsi. Wystarczy kilka uwag dodatkowych.

Monografia rynku jest właściwie koniecznem uzupełnieniem monografii gałęzi produkcyi. „Ankieta" bibliograficzna, topograficzna wraz z „próbkowaniem," prowadzą się tu zupełnie analogicznie, jak w monografii rzemiosła. Plan monografii pracowni, względnie firmy, zmienia się nieco co do organizacyi wewnętrznej. Maroussem przeprowadził to szczegółowo na przykładzie magazynów Bon Marché. W niektórych wypadkach trzeba osobno monografować zakład centralny i filie. Monografia rodziny pracownika handlowego niczem się nie różni od monografii rodziny robotniczej.

W zakresie produkcyi rolnej zastanowić się trzeba przedewszystkiem nad wyborem przedmiotu monografii. Co w tym zakresie odpowiada pewnej gałęzi wytwórczości rękodzielniczej w pewnej określonej miejscowości? Różnie bywa rozstrzygane to pytanie. Jedni za przedmiot monografii biorą większą jednostkę administracyjną — departament, inni — za przykładem Cheyssona — wieś pojedynczą („commune"). Maroussem odrzuca pierwszy wybór, jako sztuczny, drugi — jako zbyt ciasny, i przemawia za całą przestrzenią, na której prowadzony jest nieprzerwanie jeden i ten sam rodzaj gospodarki, dominujący tak, iż inne są obok niego pomocniczemi: np. przestrzeń uprawy zboża, lub buraków cukrowych, lub wina, lub hodowli bydła. To nazywa on *pays* — krajem. Kraje takie mogą być większe lub mniejsze, lecz oczywiście obejmują zawsze znaczną ilość pojedynczych wsi, i prawie nigdy nie są równoznaczne z działkami administracyjnemi. Przy „ankiecie" bibliograficznej, w dziale historycznym i współczesnym (gdzie wielką rolę odgrywać musi statystyka urzędowa), ma się też przeważnie do rozporządzenia źródła, dotyczące prowincyj administracyjnych. Granice „kraju" gospodarczego mogą nawet z początku być dla badacza nieokreślonemi: określi je ankieta „topograficzna," wywiady u powag fachowych i miejscowych, które też pozwolą rozklasyfikować „pracownie," czyli pojedyncze majątki i rodziny, oraz wybrać próbki. W monografii „pracowni" rolnej trzeba uwzględnić osobno organizacyę techniczną: budowle, grunta, inwentarz, narzędzia, nawozy, i handlową (kupna i sprzedaży). W monografii rodziny *uproszczonej* i tu pozostaje tylko jedna kolumna—pieniężna, a pozycye w naturze tylko się notuje; ale w wielkiej ilości wypadków, mianowicie ilekroć chodzi o rodzinę chłopską, monografia jej gospodarstwa *musi* poprzedzać monografię rodziny samej, co samo przez się uwydatnia znaczenie obrotu w naturze. Wreszcie ogólny plan opisu okręgu rolnego jest naturalnie nieco inny, niż „rzemiosła" miejskiego: trzeba obszernie uwzględnić środowisko fizyczne, charakter ludności, a potem — osobno traktować stan i rodzaj uprawy i produkcyi wogóle, osobno — rozkład i stosunki własności.

Odpowiednie plany kierują też monografiami organów (prywatnych i rządowych) życia publicznego w mieście i na wsi, aż wreszcie monografista wznosi się na szczyt swego dzieła: rzuca plan opisu całości państwa, czyli narodu, zaczynając od topografii fizycznej, a kończąc na monografii każdego ministeryum z osobna.

W taki sposób, z tak wyrobionemi, za pomocą długiego a cierpliwego doświadczenia narzędziami i techniką, zapuszcza się Europejczyk w gęstwinę własnych stosunków społecznych, aby zdobyć pewne wskazówki do praktycznego oddziaływania na nie. Naśladować go, oczywiście, niełatwo, tem bardziej, że warunki pod wielu względami są odmienne, trudności zewnętrznych więcej, środków pomocniczych mniej znacznie. Jednakże, sądzę, naśladować można i trzeba, tem bardziej, że przykład ciągłego przezwyciężania i tam dość licznych trudności dodawać może otuchy. Narzędzie, które daje te wyniki, jest giętkie i dość przystępne dla ludzi wytrwałych i mających naprawdę dobrą wolę. Staraliśmy się opisać tu jego cechy najistotniejsze, tak aby już opis ten mógł wystarczyć do pierwszych chociaż prób użycia. Po bliższe jeszcze szczegóły i rozstrzygnięcie mogących się nasunąć wątpliwości musieliby się interesowani udać nietylko do wyżej wymienionego ogólnego wykładu metody Maroussema, ale i do szeregu licznych jego monografij, dokonanych przy pomocy tej metody.

Dr. K. Krauz.

NOTATKI NAUKOWE.

Yves Guyot: *Le bilan social et politique de l'Eglise.* Paris. 1902. Fasquelle. Autor, znany ekonomista zachowawczego kierunku, niegdyś minister, a obecnie redaktor dziennika *Siècle*, postawił sobie za zadanie przedstawienie potęgi Kościoła katolickiego pod względem politycznym i społecznym, na podstawie danych z ubiegłego wieku. Doniosła ta i ciekawa sprawa wymagała nader gruntownego opracowania, tymczasem Guyot załatwił się z nią w sposób niezmiernie powierzchowny, a wnioski, jakie wyprowadził, zgoła nie wytrzymują krytyki. Rozpoczyna swą książkę od rzutu oka na stosunek kościoła do nauki, dając na dwudziestu stronicach szereg luźnych wzmianek niezwiązanych ze sobą węzłem żadnym. Następnie rozważa stan pobożności współczesnych Paryżan na podstawie liczby osób, obecnych na nabożeństwach niedzielnych, jako też liczby pogrzebów cywilnych i religijnych, oraz ilościowego stosunku katolików do wyznawców innych religij, w różnych krajach. Dział ten jest stosunkowo najlepszy. W dalszym ciągu autor kreśli stanowisko Kościoła w różnych krajach, ze szczególnem uwzględnieniem polityki kościelnej we Francyi za czasów Cesarstwa i Rzeczypospolitej. Jest to dość dobre zestawienie faktów w celu scharakteryzowania roli politycznej Kościoła. Ale już porównanie narodów katolickich z protestanckimi, obfituje we wnioski niedorzeczne. Autor mieni się wprawdzie wolnomyślnym, lecz przypisuje ogromnie dodatni wpływ religii protestanckiej w zestawieniu z katolicką, a dla poparcia swego dowodzenia przytacza dane statystyczne z dziedziny handlu, rozwoju przemysłowego, oświaty i przestępstw, jak gdyby wszystkie te objawy życia społecznego pozostawały w jakimkolwiekbądź związku z wyznaniem. Wreszcie usiłuje wykazać punkty styczne między katolicyzmem i socyalizmem, a będąc wrogiem zażartym obu kierunków stara się w nich dopatrzeć ideowego pokrewieństwa, w czem dochodzi do najzupełniejszego absurdu.

— Auguste Dide: *La fin des religions.* Paris. 1902. Flammarion. Książka poświęcona została „tym, którzy przez miłość dla prawdy porzucili przesądy i woleli żyć spotwarzeni i osamotnieni, niż zażywać szacunku, zdobytego kłamstwem." Nie zaciemniając treści sporami teologicznymi, nie ubiegając się o zwroty retoryczne, lecz opierając się wyłącznie na historyi, na prawach przyrody i na zdrowym rozsądku, autor roztrząsa religie: żydowską, katolicką i protestancką, nie pomijając żadnego dogmatu, żadnego artykułu wiary. W religii Mojżeszowej wykazuje wybujały klerykalizm, pychę rasową, nietolerancyę i tyranię względem innych wyznań; część tych cech przeszła, według niego, zarówno do religii katolickiej, jak protestanckiej; ta ostatnia bowiem, wbrew rozpowszechnionym poglądom, nie wprowadziła ani wolności sumienia, ani tolerancyi przekonań. Najcenniejszą częścią pracy jest odtworzona z fragmentów zniszczonego niegdyś dzieła „Księga prawdy" lekarza Celsusa, jednego z wybitnych umysłów epoki Marka Aureliusza. Jak wiadomo, dzieło to miało w swoim czasie rozgłos ogromny, dzięki głębokiej erudycyi autora; pisarze kościelni zwalczali go z wielką zaciekłością, a jeden z najuczeńszych, Orygenes, przedsięwziął obalenie zawartych w niem twierdzeń i w tym celu przytaczał całe ustępy. Książka, pisana stylem łatwym i pociągającym, grzeszy jednak cokolwiek rozwlekłością, jako też brakiem systematycznego ładu w nagromadzonych materyałach. *z.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Nowe dzieło M. Maeterlinck'a.

Maeterlinck występował już parę razy, jako autor dziełek filozoficznych („Skarb pokornych," „Mądrość i Przeznaczenie," „Pszczoły"), w roli myśliciela — moralisty, w charakterze filozofa praktycznego. To, co poeta zaznaczał niewyraźnie w dramatach swoich, co przeczuwał tylko lub ku czemu tęsknił pół-sennie, w rozmarzeniu duszy, nieokreślając bliżej dróg, celu i przedmiotów utęsknienia, to później myśliciel starał się lepiej wyjaśniać, rozwinąć i ściślej określić w osobnych roztrząsaniach filozoficznych. Poeta naiwnych i „błogosławionych" stanów ducha, poeta przeczuć bezwiednych, głuchych trwóg i zdumień serca, stawał się, wobec tajemnicy życia, jej badaczem przenikliwym, wyznającym zasadę, że mądrość nie polega na zwiększaniu ilości bezużytecznych znaków zapytania, na obciążaniu życia mnóstwem przekleństw i pomnażaniu wrogich mu potęg, lecz na ograniczaniu sfery „tajemnicy," na zasypywaniu tej otchłani, jaką ona rozwiera pod nami.

Mistyczne zagadnienia bytu wogóle, jego początków ciemnych i celów nieprzeniknionych, przenosił Maeterlinck z „zaświatów," ze sfery, leżącej na zewnątrz życia, w świat, w obręb życia psychicznego i moralnego, w łożysko, w którem skutki nie są oddzielone od przyczyn.

Dramaty Maeterlinck'a wyrobiły ich autorowi, wśród powierzchownych jego czytelników, opinię „mistyka" ordynarnego, żyjącego niemal przesądami i zabobonami ludzi ciemnych, tłomaczącego życie ludzkie grą obcych mu i niewidzialnych potęg, objawiających wolę swoją za pomocą złych lub dobrych losów, fatalizmów, przeznaczeń niepojętych, wogóle sprężyn jak najbardziej od niego niezależnych, żadną wspólnością treści z niem niezwiązanych.

Ktoby go jeszcze o coś podobnego posądzał, niech przeczyta uważnie nową jego pracę filozoficzną p. t. *Le temple enseveli* („Świątynia pogrzebana"), a przekona się, do jakiego stopnia umysł Maeterlinck'a wolny jest od tej mistyki przesądnej i trwożliwej, która oddaje życie na łaskę i niełaskę istności imaginacyjnych, antropomorficznie pojętych, rządzących niem dowolnie i kapryśnie, urągając w najlepsze jego prawom, przewidywaniom, potrzebom i dążnościom. Tytuły tylko utworów Maeterlinck'a przypominają owe czasy retoryki średniowiecznej, kiedy to wydawano sławne „Ozdoby ślubów duchowych" Ruysbroeck'a albo takie dzieło, jak: „Dwanaście dam retoryki," „Okulary książąt" itp.. Po za tem, w treści nie znajdziemy nic ta-

kiego, coby nam je przypomniało. Ze świeżej książki pisarza belgijskiego wyjmujemy wyznanie, charakteryzujące doskonale jej ducha, oraz nastrój umysłowy autora.* W rozdziale początkowym, poświęconym zbadaniu „tajemnicy sprawiedliwości,“ zapytuje Maeterlinck: gdzie była umiejscowioną owa tajemnica? Wypełniała sobą świat — odpowiada. Niekiedy spoczywała w rękach bogów, czasami obejmowała ich i panowała nad nimi.

Wszędzie ją umieszczano, tylko nie w człowieku. Wypełniała niebiosa, ożywiała skały, powietrze i morze, zaludniała wszechświat niedostępny. Poczęto w końcu badać te schronienia imaginacyjne; tajemnica znika, lecz w chwili, kiedyśmy sądzili, że zniknęła zupełnie, oto wraca znowu i powstaje w głębi serca naszego. My to bowiem stajemy się prawie zawsze ostatnią ucieczką i mieszkaniem tajemnic, które chcieliśmy zniszczyć. W sobie też powinniśmy je badać i poznawać. Jest bowiem rzeczą równie godną podziwu i niepojętą, że człowiek nosi w swem sercu niezachwiany instynkt sprawiedliwości, jak było zdumiewającem i niepojętem, że bogowie albo siły wszechświata były sprawiedliwemi. Jest równie trudnem zdać sobie sprawę z istoty naszej pamięci, woli i umysłu naszego, jak było trudnem zdawać sobie sprawę z pamięci, woli i umysłu potęg niewidzialnych lub też praw natury. A jeżeli „nieznane i niepoznawalne“ potrzebne jest nam koniecznie dla uszlachetnienia ciekawości naszej, jeżeli nieskończoność i tajemnica niezbędne są dla utrzymania naszego zapału, to możemy być pewni, że nie stracimy żadnego dopływu „nieznanego i niepoznawalnego,“ sprowadzając ich wielką rzekę do łożyska pierwotnego; nie zamkniemy ani jednej drogi nieskończoności, nie zmniejszymy nawet o włosek żadnej, najbardziej nawet zaprzeczanej tajemnicy prawdziwej. To bowiem, co się odbiera niebiosom, odnajduje się w sercu ludzkiem.

Tajemnicę, umieszczoną za nami, zastępuje Maeterlinck inną, nieodłączną od nas, dalszą przez bliższą, niepewną — pewniejszą, gdyż stanowiącą naszą własność. Postępuje, słowem, jak badacz ogólny i ścisły, niemający nic wspólnego ze scholastyczną metodą tłomaczenia rzeczy nieznanych i ciemnych, bardziej jeszcze nieznanemi i ciemnemi. W szeregu rozpraw stara się Maeterlinck odpędzić od człowieka tę zmorę straszliwą, która pod rozmaitemi nazwami: losu, fatum, przeznaczenia, sprawiedliwości intencyonalnej itp., przeraża go i ściga od wieków. W studyum p. t. „Sprawiedliwość,“ poddaje przenikliwej krytyce pojęcie „sprawiedliwości fizycznej,“ tj. tej, która ma istnieć, niezależnie od człowieka, we wszechświecie, w rzeczach, co się unosi po nad sprawiedliwością społeczną, wytwarzana przez ludzi — potwierdza lub też potępia czyny nasze. Autor wykazuje doskonale, jak to, co nieraz nazywamy sprawiedliwością fizyczną, pochodzącą z przyczyn moralnych, objawia się w rzeczywistości w postaci dziedziczności, choroby, zjawisk atmosferycznych, geologicznych itp. Pomiędzy światem zewnętrznym bowiem i naszymi postępkami istnieją tylko proste stosunki przyczyny do skutku, w istocie swojej amoralne. Gdy popełniamy jakiś czyn nierozważny albo nadużycie, narażamy się na pewne niebezpieczeństwo, spłacamy jakiś dług naturze. A że nierozwaga lub nadużycie mają najczęściej swoją przyczynę, którą nazywamy niemoralną, dlatego musieliśmy przystosować życie własne do wymagań naszego zdrowia i naszego bezpieczeństwa — nie możemy więc powstrzymać się od ustalenia stosunku między przyczyną niemoralną i niebezpieczeństwem, jakie nam groziło; tą drogą wszczepia się głęboko w serca nasze przesąd o istnieniu sprawiedliwości wszechświata. Zaufanie do niej sprawia, iż nie liczymy się zupełnie z tem, że nic by się nie zmieniło, gdyby nadużycia nasze miały jakąś przyczynę niewinną albo bohaterską. Gdybym np. rzucił się do zimnej wody, żeby ratować bliźniego, lub gdybym wpadł do niej, starając się go utopić, skutki przeziębienia byłyby w obu wypadkach zupełnie jednakowe.

Zbadanie wszelkich postaci „sprawiedliwości fizycznej“ (dziedziczność itp.), upoważnia do wniosku, że ani nad nami, ani dokoła nas, ani w życiu obecnem, ani w innem, które jest życiem naszego potomstwa, nie znajdziemy śladu sprawiedliwości rozmyślnej, z góry powziętej. Wszystko to, co się odbywa w sercu naszem i co nas skłania do przypisywania naturze naszych własnych zamysłów moralnych, wyjaśnia Maeterlinck niepospolicie głęboko i subtelnie. Suma sprawiedliwości — powiada — jaką pomimo wszystko odnajdujemy w naturze, nie od niej pochodzi, lecz od nas samych, którzy ją tam umieszczamy bezwiednie, łącząc się z przedmiotami natury, ożywiając je i posługując się niemi. W wielu wypadkach oddziaływamy bezpośrednio na rzeczy i istoty, któremi jesteśmy otoczeni; przenikamy je naszą osobowością, z sił natury robimy narzędzia naszych myśli. Gdy zaś te są niesprawiedliwe, gdy wyzyskują siły owe, ściągają na nas karę i nieszczęście, wywołują odwet. Reakcya wszakże moralna nie leży w naturze, wychodzi ona z naszych własnych myśli lub też myśli innych ludzi. Nie w rzeczach, ale w nas znajduje się sprawiedliwość rzeczy. To nasz stan moralny zmienia nasze postępowanie względem świata zewnętrznego i wywołuje zatarg między nim a nami, ponieważ jesteśmy w zatargu z nami samymi, z prawami zasadniczemi naszego umysłu i serca. Sprawiedliwość lub niesprawiedliwość naszych zamiarów nie ma najmniejszego wpływu na postawę natury względem nas; ma to jednak prawie zawsze wpływ stanowczy na naszą postawę względem natury. Tutaj, tak samo jakby chodziło o sprawiedliwość społeczną, wyznaczamy wszechświatowi, lub też jakiejś zasadzie niepojętej i fatalnej, rolę odgrywaną przez nas samych; i gdy powiadamy, że sprawiedliwość, natura, niebo lub też rzeczy karcą nas, powstają przeciw nam i mszczą się, to właściwie jest tak, że to człowiek karze człowieka, natura ludzka się oburza, sprawiedliwość ludzka mści się.

Tego związku, świadomego i moralnego, pomiędzy przyczyną i skutkiem, którego poszukujemy z nałogu, pod wpływem bezwiednych tradycyj ludzkości, w świecie zewnętrznym, każe Maeterlinck poszukiwać w nas samych, w obrębie duszy, zastępując sprawiedliwość, przypisywaną wyższym potęgom wszechświata — sprawiedliwością psychologiczną.

(D. n.).

Wł. Jabłonowski.

POEZYE

Bóg nocy wiosennej.

O północy, gdy młody księżyc srebrnołuki
Spadł zimnym pocałunkiem na graby i buki,
Przez łąki i przez boru gąszcz wysokopienny
Jedzie na białym koniu bóg nocy wiosennej,
Jedzie przez miedze żytnie po miesięcznym [szlaku
Cudny bóg czarnowłosy na siwym rumaku.

Koń parska, wstrząsa pyszną grzywą, a którędy
Przejdzie — wykwita zapach wiośnianej le- [gendy.
Sypie się puch wiśniowych kwiatów w poprzek [drogi,
Kiściami różowemi rozkwitają głogi,—
A bóg rozchyla fiołków kwiat, zaszyty we mchy,
I pije pełną piersią ostrą woń czeremchy.

A na odgłos srebrzysty końskiego kopyta
Tysiąc elfów błękitnych pana swego wita.
Ów pęk jaskrów koniowi ciska między ślepia,
Tamten się palców splotem białej grzywy [czepia —
Oczy, jak karbunkuły, świt im rozpromienia.
I tak jedzie bóg cudny ciszy i marzenia.

O północy z doliny szarej i dalekiej
Wstaje wilgotny rozpar z nad uśpionej rzeki.
I w te mgły, przepojone wonią i słodyczą,
Pod swierszczową muzykę i pod pieśń sło- [wiczą —
W tę oddal błękitnawą — szpalerem topoli
Jedzie cudny bóg—pełen snu i melancholii.

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

Potrzeby stanu włościańskiego.

(Dokończenie).

Rozdrobnienie własności włościańskiej w Królestwie Polskiem doszło do tego, że dziś przeważa kategorya osad niżej 10 morgów, które na utrzymanie rodziny nie wystarczają, lub średnich, z których połowa nie dosięga 15 morgów, tj. normy, przy której zaczyna się dopiero niezależność ekonomiczna; w ten sposób około 58% gospodarstw włościańskich nie pokrywa swą wytwórczością potrzeb właścicieli.

Z biegiem czasu kategorya włościan, nie mogących istnieć bez pobocznego zarobku, musi wzrastać, z powodu częściowych odprzedaży, a głównie działów spadkowych. Przewidując ten proces, prawo, dla zapobieżenia zubożeniu włościan, zakazało dzielenia osady na części mniejsze od sześciu morgów. Przepis ten jednak okazał się niewystarczającym dla spełnienia celu, w jakim został wydany. A to dlatego, że oznaczona minimalna przestrzeń osady — 6 morgów — położonej w średnio urodzajnych gruntach, jest stanowczo zaszczupła dla wyżywienia rodziny bez zarobków pobocznych.

Gdyby nawet dla poszczególnych okolic kraju zastosowano rozmaite minima przestrzeni osad, zależnie od urodzajności gruntów i ogólnych warunków gospodarczych danej okolicy, lub gdyby podniesiono to minimum do wyższej normy, to i tak przepis ten nie zapobiegł by dzieleniu osady. Spadkobiercy przeważnie nie żądają działów sądowych, ale faktycznie dzielą między siebie osadę zupełnie dowolnie. I jest to nieuniknionem wobec obowiązującego prawa cywilnego. Przy równym podziale większość włościan nie jest w stanie tak wyposażyć dzieci, aby jednemu z nich ziemia pozostała w udziale. A że włościanie równy podział spadku uważają za prawny i sprawiedliwy, więc gdzie tylko kilkoro dzieci przychodzi do działu, tam ziemia podzielić się musi.

Państwa zachodnie dążą do niepodzielności osad drogą rozszerzenia wolności testamentowej. Niekrępowany niczem w rozporządzeniu osady włościanin najczęściej zapisuje ją w całości na rzecz jednego spadkobiercy, z wyznaczeniem spłaty pozostałym. Prawa o dziedziczeniu osad wło-

ściańskich (Höferecht) Hanoweru i Westfalii ułatwiają włościanom utrzymanie osad w niepodzielności, lecz nie zniewalają do niej tak, że poddanie się takiemu prawu jest w każdym czasie odwołalnem. Środki zaś, jakie podaje prawo hanowerskie i westfalskie, dla utrzymania osady w niepodzielności i w rodzie, polegają głównie: 1) na wprowadzeniu szacunku osady, zamiast samej osady do masy spadkowej, przez co uchyla się obowiązkowe dzielenie się w naturze; 2) szacunek osady oparty na dochodzie, nie zaś na cenie sprzedażnej lub umownej, zapobiega sprzedaży osady przez licytacyę, w razie braku między spadkobiercami zgody do szacunku, lub małoletności spadkobierców, a nadto umożliwia obejmującemu osadę sukcesorowi spłatę współspadkobierców.

Zastosowanie wolności rozporządzenia osadą przez testament lub przez układ między żyjącymi nie napotkałoby u nas trudności i przeszkód. Zwykle bowiem włościanie w wieku późniejszym, przez układ pomiędzy żyjącemi, przekazują osadę jednemu z synów pod warunkiem — wydawania alimentów rodzicom aż do ich śmierci i spłaty rodzeństwa w sumach, w akcie wskazanych i ustanawianych zwykle w porozumieniu wzajemnem.

Rozszerzenie wolności testamentowej powinno być stosowane do właścicieli osad większych, prowadzi ono bowiem do utrzymywania osady w całości; natomiast zachowywanie drobnych, niesamodzielnych osad w niepodzielności jest, zdaniem p. J., bezcelowe (przepisy hanowerskie wykluczają drobne posiadłości z korzystania z prawa osadowego), zwłaszcza że prawo o niepodzielności osad poniżej 6 morgów, rozumiane tak, że właścicielowi ani odprzedać, ani też sobie pozostawić mniej przestrzeni nie wolno, poczytywać należy za szkodliwe. Odbiera ono bezrolnym wyrobnikom wiejskim możność nabycia wolnego dającego mu punkt oparcia szmata ziemi pod budynek i ogród.

Przy podziałach, czy też przy spłacie spadkobierców, włościanin zmuszony jest uciekać się do kredytu, gdyż dochody z ziemi niezawsze pozwalają podołać przyjętym na siebie w tych wypadkach zobowiązaniom. Należałoby zabezpieczyć włościanina od kredytu lichwiarskiego i podstępnych a rujnujących tranzakcyj. Jedynym środkiem, prowadzącym do tego celu, jest ujawnienie kredytu i umów, co możliwem jest tylko przy istnieniu hipoteki.

Dotychczas, jak wiadomo, gospodarstwa włościańskie nie posiadają hipotek, a to dlatego, że komitet urządzający uznał zaprowadzenie hipotek dla osad niezadłużonych za przedwczesne, mniemając, że hipoteka ułatwiłaby włościanom obciążanie gruntów długami. Obawy te okazały się nieuzasadnionemi. Natomiast urządzenie hipoteki dla włościan, oprócz powyżej wymienionych stron dodatnich, okazuje się dziś koniecznem dla wielu innych względów, a mianowicie: 1) zabezpieczy ono włościaninowi własność osady a spadkobiercom ich prawa; 2) otworzy dla oszczędności włościańskich bezpieczną lokacyę, wyprowadzając z użycia rozpowszechnione wśród włościan, a zgubne dla dłużnika pożyczki na zastaw gruntu; 3) stanowić będzie podstawę publicznego kredytu dla włościan, który może wpłynąć bardzo pożytecznie na dalsze ukształtowanie się własności mniejszej. Kredyt publiczny dla włościan jest najpilniejszą z ich wielu niezaspokojonych potrzeb obecnych. Od niego zależy dalszy rozwój ekonomiczny własności drobnej u nas.

K. Kasperski.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według *Pam. Kniż.* za r. 1901, gub. Lubelska posiada 255 cerkwi prawosławnych, 146 kościołów rzymsko-katolickich, 2 protestanckie, 756 zakładów naukowych. W guberni tej mieszka 264,272 prawosławnych, 34 raskolników, 832,075 rzymskich-katolików, 38,831 protestantów, 190,050 żydów.

Z Poznańskiego. W Arnsbergu, w Westfalii, sądzoną była sprawa o zakaz policyi mówienia na zebraniach po polsku. Sąd orzekł, że urzędnik, kontrolujący zebranie, nie może żądać, ażeby dla niego używano języka niemieckiego, oraz że policya w razie potrzeby powinna znać języki obce. Zakaz więc został zniesiony, a nadto od policyi przysądzono 100 marek kosztów sądowych.

— W uniwersytecie wrocławskim wywieszono rozporządzenie pruskiego ministra oświaty, zabraniające studentom udziału w zabawach towarzystw polskich.

— Znany ze sprawy wrzesińskiej nauczyciel Koralewski, otrzymał 500 marek nagrody za gorliwe krzewienie niemczyzny.

— *Gazeta Gdańska* donosi, że w koszarach w Starogrodzie wywieszono na drzwiach nazwiska wszystkich kupców polskich, u których żołnierzom nie wolno nic kupować. Przy wstępowaniu do wojska rozdano rekrutom polskim książki do nabożeństwa wyłącznie w języku niemieckim.

— *Górnoślązak* podaje następujący charakterystyczny obrazek kształcenia dzieci polskich w szkołach pruskich: „Przyprowadzono nam chłopca 11-letniego, syna p. Rolnika z Zawodzia, na dowód, jak nauczyciel tamtejszy, Rother, wpaja dzieciom polskim kulturę niemiecką. Dzieciak jest wątły i ułomny; nieustanne kary zupełnie biedaka zdenerwowały. Widać z każdego rysu twarzy, jak nerwy jego są nadwerężone. Matka pokazywała nam, rozebrawszy nieszczęsne dziecko, skatowane jego plecy: były całe sine, a łopatki czarne jak smoła, od uderzeń jakiemś twardem widocznie narzędziem. Oprócz tego na rękach dziecka widnieją jeszcze ślady uderzeń, prawdopodobnie trzciną wymierzanych. Chłopiec jest chory na głowę, o czem świadczy twarz lekko wykrzywiona, mimo to ma naderwane uszy i sińce na głowie."

Szkoły i wychowanie. Według świeżo zatwierdzonej ustawy petersburskiego instytutu leśnictwa, kurs nauk w tym zakładzie trwać będzie 4 lata. Wykładane będą: religia prawosławna, matematyka i mechanika stosowana, geodozya i rysunki geodezyjne, botanika, zoologia ogólna i stosowana, fizyka i meteorologia z klimatologią, chemia, ekonomia polityczna łącznie ze skarbowością i statystyką, uprawa roli z zasadami gospodarstwa rolnego, leśnictwo ogólne z dendrologią, leśnictwo prywatne, zakładanie lasów i ich taksacya, technologia leśna, budownictwo i inżenierya w zastosowaniu do potrzeb gospodarstwa leśnego, rysunki, prawo leśne i zarząd lasami, prawoznawstwo, mineralogia z geologią i, sadownictwo i ogrodnictwo. Z języków obcych obowiązującym będzie tylko jeden. Na słuchaczów przyjmowani będą posiadający świadectwa z wyższych zakładów naukowych gimnazyów lub szkół realnych z klasami dodatkowemi, oraz z innych zakładów naukowych średnich, które uznane zostaną za odpowiadające celowi. Opłata półroczna 30 rb. Niezamożni a pilni studenci korzystać mogą z nauki bezpłatnej i ze stypendyów, wynoszących 360 rb. rocznie, wzamian za co obowiązani będą służyć w zarządzie leśnym tyle lat, przez ile otrzymywali zapomogę. Po egzaminach teoretycznym i praktycznym słuchacze otrzymywać będą tytuły uczonego leśnika klasy pierwszej i drugiej. Osoby prywatne po złożeniu odpowiedniego świadectwa szkolnego i 30 rb. mogą być egzaminowane tylko na stopień leśnika klasy pierwszej.

— W Moskwie otworzono drugie audytoryum kursów ogólnego wykształcenia dla robotników.

— We Lwowie powstaje „Szkoła nauk politycznych," której zadaniem ma być ułatwianie członkom Towarzystwa szkoły oraz ogółowi nabywanie wiedzy społeczno-politycznej.

— Do szkoły leśnej w Drewnicy pod Warszawą przyjmowani są wyłącznie kandydaci wyznania prawosławnego, z tego względu, że w razie dopuszczenia katolików potrzebny byłby dla nich nauczyciel religii, a szkoła na ten cel nie ma funduszu.

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że nauczycielom średnich zakładów naukowych dozwolone być może dawanie prywatnych korepetycyj płatnych uczniom szkół, w których wykładają, nie inaczej, jak za pozwoleniem kuratora okręgu naukowego i na przedstawienie dyrektora danego zakładu szkolnego i w takim tylko razie, jeśli nioma nauczycieli innych zakładów szkolnych lub osób, zajmujących się tym zawodem.

— Zniesione zostało dawne rozporządzenie, pozwalające na obronę rozprawy w uniwersytecie warszawskim, w celu uzyskania stopnia naukowego magistra i doktora, tylko tym, którzy zdali egzaminy ustne i piśmienne.

— Zapisy do galicyjskiej akademii rolniczej w Dublanach rozpoczną się d. 15 września, wykłady — 1 października.

— W uniwersytecie berlińskim wywieszono rozporządzenie rektora, o warunkach przyjęcia studentek z Rosyi do uniwersytetu. Minister oświaty postanowił, że na przyszłość świadectwa dojrzałości, wydawane przez rosyjskie gimnazya żeńskie, nie wystarczą do uzyskania pozwolenia na uczęszczanie do uniwersytetu, nawet wówczas, kiedy studentka, posiadająca takie świadectwo, ukończyła klasę uzupełniającą, otrzymała świadectwo nauczycielki, albo zdała egzamin uzupełniający z języka łacińskiego. Świadectwa uczęszczania do uniwersytetu wydawane będą tylko w razach szczególnych takim studentkom, które na podstawie świadectw dojrzałości z gimnazyów żeńskich w Rosyi zostały przyjęte do uniwersytetu.

— Ministeryum oświaty poleciło kuratorom okręgów naukowych wydać rozporządzenie dyrektorom gimnazyów i progimnazyów, ażeby w latach 1902/3 do 1906/7 dopuszczono do egzaminów z języka łacińskiego uczniów szkół realnych, chcących watąpić do akademii lekarsko-wojskowej.

— Zarząd okręgu naukowego warszawskiego oznaczył dzień 2 sierpnia, jako ostateczny do wniesienia podania o dopuszczenie osób postronnych do egzaminu ze znajomości kursu którejkolwiek klasy szkół męzkich i żeńskich

Wiadomości naukowe. Krakowska Akademia Umiejętności ogłosiła odezwę do pracowników na niwie literatury polskiej o nadsyłanie wiadomości o wszelkich, znajdujących się w rękach prywatnych rękopisach, pieśniach, kantyczkach, satyrach, sielankach, powieściach, sztukach teatralnych, broszurach przygodnych, pamiętnikach, listach itp., począwszy od XIV do XIX wieku. Na żądanie Akademia przesyła instrukcyę drukowaną i formularz do wypełnienia.

Literatura i prasa. W Zakopanem zaczął wychodzić nakładem i pod redakcyę p. Edmunda Cięglewicza tygodnik p. t. *Giewont.*

— W uniwersytecie berneńskim w Szwajcaryi otwarta będzie „wyższa szkoła dziennikarstwa."

— W Londynie powstało Towarzystwo „The Philo-Polish Society of Literature and Art," w celu zapoznania się z piśmiennictwem i sztuką polską.

Ze sztuki. Delegacya przy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej w Warszawie, w celu przyczynienia się do rozwoju i postępu sztuki rzemieślniczej, ogłosiła dwa konkursy. Pierwszy, z inicyatywy firmy „Bracia Hornowie," na rysunki drzwi i okna do zwykłych domów mieszkalnych; drugi, na życzenie ślósarzy pp. Ogórkiewicza i Zagórnego — na rysunki okucia drzwi i okna do takichże domów. Za pracę na konkursie pierwszym przyznane będą 3 nagrody: 125, 50 i 25 rb., na drugim — 25 i 15 rb. Szczegółowe objaśnienia otrzymać można: w Warszawie: w Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 60; w Krakowie: w Muzeum narodowem (wydział sztuki stosowanej); w Poznaniu: w Towarzystwie przyjaciół nauk, ul. Wiktorya nr. 26. Okazy obecnie używane są do obejrzenia w Muzeum rzemiosł od godziny 10-ej zrana do 4-ej po południu.

Zdrowie publiczne. Międzynarodowy kongres ginekologiczny odbędzie się w Rzymie d. 15—20 września r. b.

Sprawy ekonomiczne. *Prawit. Wiest.* ogłosił następujące zawiadomienie ministeryum skarbu: „Wobec dążenia w kierunku zwiększenia wytwórczości istniejących gorzelni oraz budowy nowych o rozmiarach, nieodpowiadających rzeczywistym potrzebom rynku, ministeryum skarbu zawiadamia, iż po porozu-

mieniu się z ministeryum rolnictwa i dóbr państwa postanowiło: 1) wstrzymać czasowo w gaberniach i okręgach Rosyi europejskiej wydawanie pozwoleń na urządzenie nowych gorzelni i na powiększenie produkcyi już istniejących, pędzących spirytus ze zboża i kartofli; wszelkie zaś prośby, jakie w tej mierze do chwili obecnej wpłynęły, rozpoznać według przepisów obowiązujących; 2) uprzedzić osoby, które otrzymały pozwolenie na urządzenie nowych gorzelni, że te, o ile nie będą urzeczywistnione w ciągu trzech lat od chwili niniejszego ogłoszenia, utracą swoją siłę."

Komunikacye. Wydano rozporządzenie, aby na posady telegrafistów kolejowych przyjmowano kandydatów ze świadectwami najmniej szkół miejskich.

— Powstał zamiar, ażeby koleje żelazne, w razie żądania ratunku przez miasta lub wsie, nawiedzone pożarem, przewoziły straże ogniowe pociągami osobnymi i bezpłatnie.

Katastrofy. W Wenecyi runęła dzwonnica katedry św. Marka, wspaniała czworokątna budowla, wysoka na 98 metrów, wzniesiona w r. 1178.

— Na rzece Łudze zatonął statek tejże nazwy przewożący podróżnych ze stacyi kolei Warszawsko-Petersburskiej, Preobrażewskaja do miasteczka Chiłok. Utonęło kilkadziesiąt osób, znajdujących się w kajutach.

— W Johnstown, w Pensylwanii, w kopalniach węgla nastąpił wybuch gazów, skutkiem którego zginęło około 300 robotników, przeważnie wychodźców z Galicyi.

— W Chantake (Hiszpania) spadł grad w takiej obfitości, że w niektórych miejscach warstwa jego sięgała do wysokości metra.

Zmarli. Piotr Malinowski, prawnik i publicysta w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. B. Ależ naturalnie! Nie może tu być mowy o wpływie. Książka Ig. Matuszewskiego p. t. „Słowacki i nowa sztuka" wyszła z datą r. 1902, ale ma cenzurę z 8 maja 1901 r. musiała więc być napisana znacznie wcześniej. I rzeczywiście, autor jeszcze w r. 1899, a więc przed trzema laty, drukował w *Tygodniku Illustr.* najważniejsze ustępy tego dzieła, a potem miał odczyt o plastyce u Słowackiego, ogłoszony w *Ateneum* w czerwcu r. 1901.

Bezstronnemu. O powieści tej napiszemy w *Prawdzie* za parę tygodni. Dotkniemy wtedy i słusznej zupełnie sprawy, poruszonej w liście Sz. Pana.

Panu Adamowi Warcie. Zapewne ma Pan słuszność; lecz artykulik jego treścią swą, a zwłaszcza formą, nie odpowiada wymaganiom pisma.

Zdosławowi. Omdlewający w zachwycie miłosnym daniel spocznie tymczasem w koszu redakcyjnym. Takiemi próbami pióra nie warto się chwalić przed światem.

Sławobojowi. W nadesłanych sonetach znać jeszcze niezupełne opanowanie formy, przebija się jednak myśl i uczucie. Zapewne coś umieścimy.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Іюля 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.